

# NA SZLAKU KRESOWEJ

str 12-15



NR 5

(23)

*Ref. Kult. i Prasy*  
**KRESOWEJ**  
**DYW. PIECHOTY**  
*Włochy Czerwiec 1945*



08921

# Na Szlaku Kresowej

Numer 5 (23)

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

\*

Czerwiec

\*

1945

Wydawnictwo Wojskowe

**Redaktor: Witold Zahorski**

**Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 302**

**Tłoczono w Drukarni Polowej A.P.**

# Wykonania dopilnujemy!

*Dopilnujemy, aby uchwały Rady Jedności Narodowej  
w Kraju, powzięte w dniu 15 sierpnia 1944 roku,  
w ogniu Powstania Warszawskiego,*

o

- 1. praworządności Rzeczypospolitej;*
- 2. zapewnieniu swobód obywatelskich;*
- 3. przebudowie ustroju rolnego, opartego o własność indywidualną, nie przekraczającą 50 hektarów;*
- 4. uspołecznieniu kluczowych gałęzi przemysłu;*
- 5. upowszechnieniu oświaty i kultury*

*— zostały wprowadzone, prawem ugruntowane, nigdy  
nienaruszone!*

# Rozkaz

## na zakończenie działań wojennych we Włoszech

Żołnierze!

Nasza 5 Kresowa Dywizja Piechoty, w której mamy honor służyć, powstała we wrześniu 1941 r. w Tatiszczewie i Tocku w Rosji. Zrodziła się ona w bólach wojny światowej. Kolebką jej była obca ziemia, nam wroga, a pierwszymi dziećmi Dywizji byli Polacy, wczorajsi więźniowie i zesłańcy, męczennicy XX wieku. Zgłodniali, zmarnięci i wycieńczeni żołnierze ci ponownie chwytały za broń, by walczyć o wolność Polski, a przyświecała im wizja wolnego polskiego Wilna i Lwowa.

Wizja wolności Ojczyzny była ich gwiazdą przewodnią, gdy szli z tajg i tundr Sybiru do Tatiszczewa i Tocka, śpiesząc do szeregów Wojska Polskiego.

Etapy gorączkowej organizacji i wytężonej pracy wyszkoleniowej wiodły 5 KDP w długiej wędrówce poprzez Dżalal-Abad, Krasnowodsk i Szachrziabs do Pahlevi w Persji, stamtąd poprzez piaski Khanaquinu i Kirkuku do Palestyny. Z Palestyny do Egiptu. Z Egiptu Dywizja wraz z całym 2 Polskim Korpusem została przewieziona do Taranto we Włoszech, by u boku Sprzymierzonych, w szeregach sławnej na cały świat 8 Armii wziąć udział w bitwach na ziemi włoskiej.

Walki w Italii, to cała epopea 2 Polskiego Korpusu, godna następców Legionów Dąbrowskiego, to wielki triumf oręża polskiego, chluba Polaków wierne i lojalnie walczących ramie w ramie z Aliantami o ostateczne zwycięstwo, o złamanie potęgi i odwiecznego wroga.

Walczylismy jak na Polaków przystało — z rozmachem, z fantazją i z animuszem.

Pomimo, że serce żołnierskie bolało nad strasznym losem rodzin naszych w

Kraju pod okupacją niemiecką i rodzin naszych, które musieliśmy bez opieki zostawić na Sybirze, pomimo podszeptów wroga germańskiego, pomimo obłudy i zdrady wschodniego sąsiada — biliśmy się do upartego o prawo do życia, o wolność i sprawiedliwość dla wszystkich.

Jakże wymowne i święte były dla nas słowa naszego hymnu narodowego: „z ziemi włoskiej do Polski”.

Jakże silną była, jest i pozostanie nasza wiara w słuszność naszej sprawy.

Z tą wiarą gorącą ginęli nasi koledzy, tu, na polu chwały we Włoszech, tak samo jak ginęli nasi koledzy na wszystkich innych frontach świata, na lądzie, morzu i w powietrzu, tak samo jak ginął bezimiennie nasz lud w Kraju, mężczyźni, kobiety i dzieci w Armii Krajowej, walczącej z okupantami. Składamy im hołd najwyższy i przyrzeczenie, że nie zaprzepaścimy ich wkładu krwi.

Tak jak powiedział nasz wieszcz poeta Wyspiański:

„Krwie przelanej nie zmarnię;  
krwią pole i rolę użyję  
i synów z krwi tej dam — kiedyś  
— Ojczyźnie.”

Działania wojenne już ustały. Buta wroga została już złamana. Nieprzyjaciel sromotnie pobity na głowę skapitulował bezwarunkowo. Możecie być dumni, że przyczyniliście się do tego bardzo wydatnie, że spełniliście chlubnie zadanie, jakie Polakom przypadło na tym teatrze wojennym.

Dzisiaj z dumą możemy spojrzeć wstecz i przypomnieć sobie pola bitew i chwały, na których walczyła 5 Kresowa Dywizja Piechoty — Dywizja Wilna, Lwowa i Wołynia.

17.III.-18.IV.44 — S. Pietro - Biaggio.

20.IV.-27.V.44 — Monte Cassino - Widmo - S. Angelo - Passo Corno - Monte Cairo - Piedimonte.

*Kampania Adriatycka*

- 1-3.VII.44 — S. Biaggio - Morrovalle.  
4-5.VII.44 — S. Margherita - Cura Nuova - Montoro - S. Paulino - M. Polesco - Centofinestre.  
5-6.VII.44 — rz. Musone - Palazzo del Cannone - Villanova - Fillotrano.  
17.VII.44 — M. della Crescia - M. Torto - M. Offagno - M. Borgo - forsowanie rz. Esino.  
18.VII.44 — Torrette a' Mare - Polverigi - Agugliano - Chiaravalle - Falconara - S. Vito - Morro d'Alba - Montemarziano.  
25-26.VII.44 — Ostra - Filetto.  
9.VIII.44 — wzg. S. Lucia - wzg. 208-206 - Ripe - Castelcolonna - La Croce.  
10.VIII.44 — Monterado.  
17.VIII.44 — Mondolfo.  
18.VIII.44 — Castelvecchio - M. Cucco - Monteporzio.  
19.VIII.44 — wzg. 171-189.  
20.VIII.44 — S. Giorgio di Pessaro.  
21.VIII.44 — wzg. 102 - S. Angelo.  
26.VIII.44 — Borgo Lucrezia - M. della Forche.

*Kampania w Apeninach*

- 18.X.44 — S. Sofia - Marcetalle.  
19.X.44 — S. Buchetto - Collina - M. Altaccio - M. Spino - Galeata - Civitella di Romagna.  
21.X.44 — Monte Grosso - Strada di Zeno.  
23.X.44 — M. Selcio - M. Colombo.  
24.X.44 — M. Belvedere.  
25.X.44 — Mirabello.  
27.X.44 — Predappio Nuovo.  
5.XI.44 — Monte Maggiore - Marsignano - S. Martino in Avello - Palazzo Pandolfo.  
6.XI.44 — M. Collina - Petrigano - Casaluda.  
9.XI.44 — M. Sadurano.  
10.XI.44 — Colombaia - Castrocaro - La Ca - La Bagno.  
17.XI.44 — Fattoria - M. La Siba - M. Cerretto - Golfara - Converselle.

20.XII.44-9.II.45 — odcinek Brisighella.  
6.III.-9.IV.45 — odcinek Faenza.

*Kampania Bolońska.*

9-22.IV.45 — bitwy nad rzekami: Santerno - Sillaro - Gaiana - Idice, współdziałanie w zdobyciu Imola - zakończone opanowaniem przez 2 Korpus Bolonii.

Ta ostatnia ofensywa kwietniowa 1945 r. i bitwa o Bolonię zadecydowała o klęsce wroga w Italii, zdruzgotała jego najlepsze dywizje i doprowadziła do błyskawicznej likwidacji jego sił zbrojnych i do kapitulacji 2 maja 1945 r.

Moście być dumni, żołnierze, ze spełnionego obowiązku i Ojczyzna jest Wam wdzięczna za pracę Waszą, za krew i pot — a to jest Waszą największą nagrodą.

W naszym pochodzie wojennym rośliśmy w siły. Szeregi żołnierzy — Kresowiaków zostały wzmocnione naszymi braćmi z Pomorza, Poznańskiego i Śląska. Twórzycie dziś zwarte, spójne krwią oddziały. Tę zwartość i jedność musicie zachować.

Wróg jest na kolanach i dosięgła go ręka sprawiedliwości dziejowej i kary Bożej, której Wy byliście także ramieniem.

I radowałyby się serca nasze, gdyby Polska, Ojczyzna nasza była wolna.

Ale niestety tak nie jest, bo Kraj nasz tylko zmienił okupanta.

Niebezpieczeństwo jest wielkie dla Polski i innych krajów, które znalazły się w ponownej niewoli pod przemocą rosyjskiego imperializmu. Niebezpieczeństwo staje się powszechne i zagraża innym.

Żołnierze!

Nie walczyliśmy o zmianę okupanta. Wojna nieubłagana, wydana Narodowi Polskiemu, nie skończyła się. Wszelkie ustępstwo, najmniejsza słabość okazana przeciwnikowi, doprowadzi nas do zagłady nieuchronnej. Przeciwnik jest silny i niebezpieczny, ale nie jest niezwy-

ciężalny jak każda potęga zła na krzywdzie ludzkiej i niesprawiedliwości oparta.

Najgorszą rzeczą jest nie widzieć niebezpieczeństwa i nie doceniać wroga. My niebezpieczeństwo znamy aż nadto dobrze.

Musimy wzruszyć sumienie świata i zadziwić wroga swoją spokojną postawą, swoją solidarnością i swoją gotowością do najwyższych poświęceń. Nie jesteśmy sami. Otacza nas rodzina narodów ujarzmionych tak jak nasz, lub innych, które mają być następnymi ofiarami.

Walczyliśmy, walczymy i walczyć będziemy o wolność wszystkich narodów miłujących niepodległość. Tak jak przodkowie nasi „za waszą wolność i naszą”. Biada temu, kto tego nie rozumie, lub zrozumie za późno.

My, Polacy, chcemy być wolni z wolnymi i równi z równymi. Niewola jest gorsza od śmierci.

Krew naszych poległych braci woła na nas, łzy naszych najbliższych palą nas.

Działania wojenne we Włoszech skończyły się, ale nie skończyła się niewola i męka naszych bliskich.

Wchodzimy w okres najbardziej krytyczny i może najcięższy w historii Polski. Możemy z niego wyjść zwycięzcami albo przestać istnieć.

Polska liczy na nas.

Wchodzimy w okres najtrudniejszy dla wojska.

Kiedy zgiełk ucichł, kiedy zablizniają się rany, kiedy tęsknota wyje w naszych duszach, kiedy przychodzą szare dni monotonne i przeraża nas bezmiar rozpacz i zwątpienia — wtedy wróg zbliża się, mami i kusi i sieje swój śmiertelny jad.

Wtedy chcą nam napluć w duszę, chcą nas pokonać za darmo, bez walki. Wtedy zechcą zmusić nas, byśmy poszli do niewoli dobrowolnie.

Sytuacja, w której znajdujemy się, wymaga od nas spokoju, solidarności i zaufania.

Najtrudniej być dobrym żołnierzem po bitwie, w okresie odpoczynku i spokoju. Pamiętajmy, że bezczynność jest najgorszym doradcą. Jesteśmy synami wielkiego Narodu, jesteśmy przedstawicielami Polski za granicą. Jesteśmy ramieniem zbrojnym Rzeczypospolitej, jesteśmy braćmi innych Narodów.

Cechować nas musi dyscyplina, spokój, dobry humor, uczciwość w postępowaniu i koleżeństwo, które powstało na polu bitwy.

Wtedy szanować nas będą swoi i obcy, sprzymierzeni, a nawet wrogowie.

Swoją postawą powinniśmy zmusić świat zrewidować sprawę Polski i innych bratnich Narodów, musimy złamać zakłamanie. Polska będzie wolną i będzie jeszcze lepszą. Nowa Polska będzie oparta na sprawiedliwości społecznej wobec wszystkich swych obywateli i tego dopilnujemy sami.

5 Kresowa Dywizja Piechoty po zakończeniu działań spełni nałożone na nią zadania tak samo, jak je spełniała na polu bitwy. Zachowamy czujność i gotowość, będziemy się szkolili i wypełniali czas pożyteczną pracą.

Będziemy tęsknili za Polską, ale będziemy cierpliwie czekali. Nie damy się zdeprawować.

**Żołnierze!**

Wasi dowódcy będą wśród Was we wszystkich okolicznościach, tak samo, jak byli w ogniu. Waszym obowiązkiem na dzisiaj jest ułatwić naszą pracę pokojową. Podtrzymujcie słabszych i bądźcie silni zwartością, dyscypliną i wzorową postawą żołnierza. Od tego zależy, jacy wrócimy do Ojczyzny i czy wrócimy.

Niech żyje wolność i sprawiedliwość!

Niech żyje Polska!

Niech żyją wszystkie bratnie Narody!

**Dowódca 5 Kresowej Dywizji Piechoty**

(—) *Sulik Nikodem, gen. bryg.*

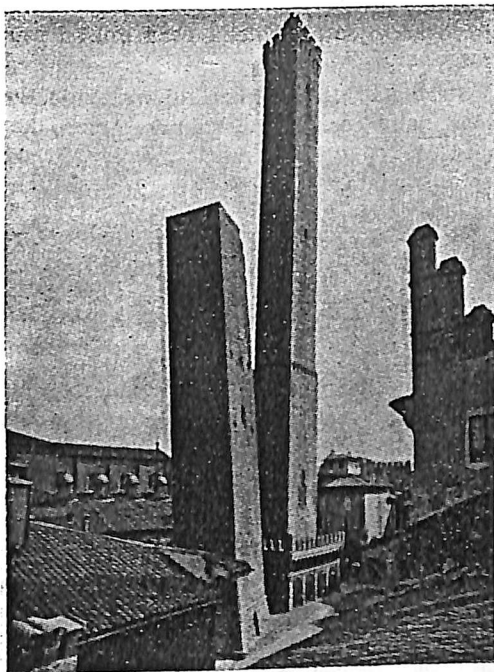
# Strategia duszy żołnierskiej

Wiosna 1945. Na wzgórzach Monte Cassino kwitną maki, jak kwitły dawniej, jak będą kwitły w przyszłości.

Nowe w dziejach ludzkości Termopile, duchy Leonidasów spod polskiego znaku — z Acquafondata i innych cmentarzy — śnią o wyrazie sensu historycznego ich krwawej ofiary, na tych pełnych grozy wzgórzach.

Gdzieś tam na północy, już na dolinach rzeki Po, między Faenzą i Bolonią, toczy się nowa bitwa o Italię, a dla nas bitwa o Polskę. Zarysy gór Apenińskich, przebytych w ciężkiej letniej i zimowej kampanii widnieją już tylko na horyzoncie.

Jakżesz znamy te góry zdobywane bez wytchnienia w krwawym wysiłku znojnego



*Bolonia. Wieże: Garisenda i Asinelli z XII wieku.*

lata i tak trudnej w górskich warunkach zimy! Przewaliły się one przez duszę żołnierską wrażeniami nadludzkiego trudu, codziennego ryzyka życia za ten czy inny fragment terenu, za to czy inne półko kukurydzy, koniczyzny, czy winnicy, za ten czy inny domek, za stóg siana czy siana, za ten czy inny wyłom w skale, za ten czy inny szczyt.

Przewaliły się przez duszę żołnierską łańcuch wrażeń tak ściśle skojarzonych z poprzednimi, a płynącymi z całego świata, którego możni władcy decydowali o urządzeniu jego w przyszłości po linii swoich interesów.

Tuż jeszcze przed Monte Cassino słyły głuche wieści o groźnych dla Polski uchwatach teherańskich. Tuż po Monte Cassino wżarły się w serca żołnierskie słowa rzucone z Londynu o słuszności linii Curzona, o oddaniu półowy Polski — a z nią Wilna i Lwowa — na zatrącenie.

Znaleli się politycy polscy, którzy latowali do Moskwy i targali serca żołnierskie skłonnością do ugody, do przypieczerowania polską zgodą — jak ongiś na niemym grodzieńskim Sejmie — nowego rozbiór.

W zimie uderzyło w serca żołnierskie straszliwe słowo „Jałta” już nie zapowiedzią a decyzją, oddającą pół Polski wrogowi i stawiającą jej resztę w roli tylko służki okropnego wschodniego imperializmu. Decyzja zwiastująca Polsce tylko jakiś pozór niepodległego bytu, a innym narodom z nią historycznie związanym przybijająca gwóźdź do trumny.

Padaly i ze strony Polaków hasła godzenia się z tymi warunkami... Jedni w imię tak zwanej realnej polityki, drudzy w imię ratowania biologicznej treści, a jeszcze inni dla podłego, osobistego interesu skłonni byli do ustępstw.

Strategia duszy żołnierskiej, znająca wartość krwawej ofiary, szukała wyrazu swej woli, rzuconego światu i własnym pomniejszych ciolom.

Budowaliśmy przez zimę pomniki na Monte Cassino.

W duszy żyła myśl o nadchodzącej rocznicy bitwy, o dniach, gdy znów zakwitną maki, a na wzgórzach Monte Cassino strzelą ku niebu pomniki, a na nich żołnierskie, dumne, nieustępliwe słowa. Na jednym: „Dusze oddaliśmy Bogu, ciało włoskiej ziemi, a serce Ojczyźnie”, a na drugim — „Za wolność waszą i naszą, za Wilno i Lwów — symbole mocy Rzeczypospolitej, w wykonaniu testamentu przodków, w spełnieniu opowiazku żyjących, jako drogowskaz dla przyszłych pokoleń.”

Wiosna 1945.

W dolinie rzeki Po toczy się bój o Bolonię.

Jak rok temu pod Monte Cassino zrywem śmiertelnym przypadło nam w udziale otworzyć drogę na Rzym, tak teraz takim samym zrywem trzeba otworzyć drogę do północnej Italii i może drogę do Polski, do której jest coraz bliżej i bliżej. Kwitły i tutaj czerwone maki, tak samo bliskie duszy żołnierskiej, jak tamte, spod Monte Cassino. Przypominają o wyłonaniu obowiązku żyjących.

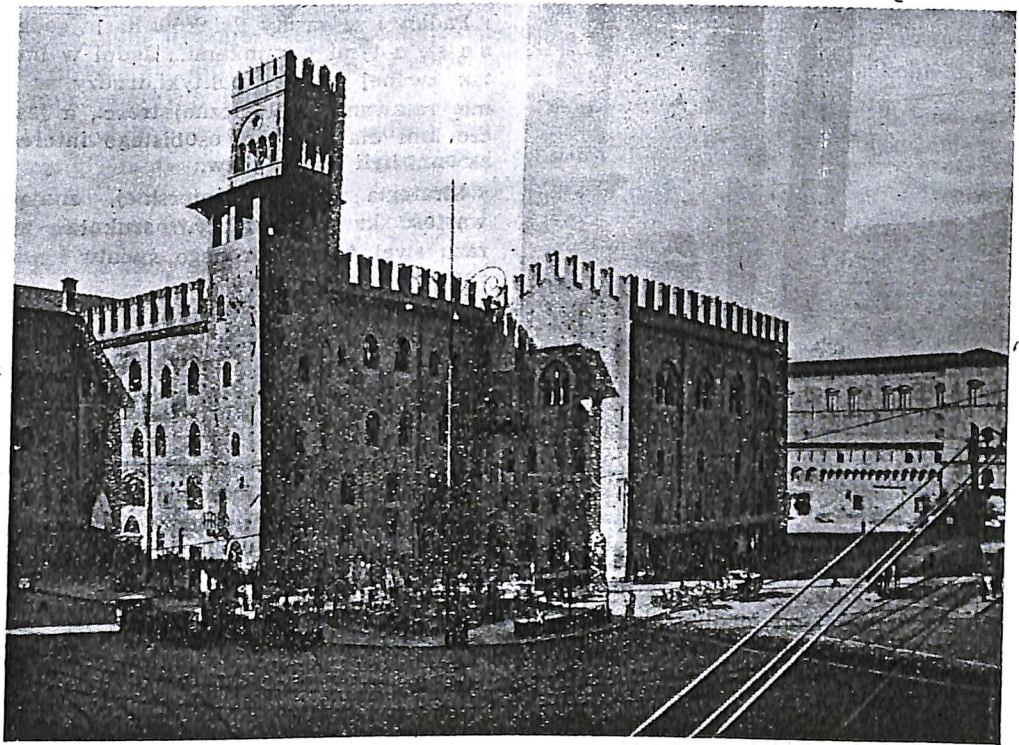
Wiąże się nią symboliczna z tamtymi, sprzed roku. Zamiast skał niedostępnych i groźnych, najeżonych bunkrami — kanały, przecinające równinę, wały nadrzeczne i sznury morderczych drzew splecionych winoroślą. Nie zwisa tu jak zmora niebotyczne Cairo i Cifalco, ale z wierzchołków drzew równinnych, z krzewów, wałów i innych ukrytych zaczyna kula i pocisk od wyborowych niemieckich oddziałów, słynnych spadochroniarzy, bijących się w całym tego słowa znaczeniu do ostatniego tchu.

Trzeba przebrnąć cały szereg rzek i strumyków, trzeba drogo krwią zapłacić za każdy opanowany wójt i dom, zanim Bolonia — przedmiot główny wszystkich zimowych walk aliantów — zostanie nareszcie osiągnięta.

Bolonia teraz — jak Monte Cassino przed rokiem — przez całą zimę była głównym celem na froncie włoskim. Mówiło się o tym w prasie całego świata. To też zwycięstwo pod Bolonią i opanowanie jej będzie sprawą głośną na cały świat.

Tu musi zakopotać dumnie na najwyższej wieży polska chorągiew, symbol naszego trwania i wierności hasłom, które już cętem ktoś tam wykuwa na pomnikach Monte Cassino. Nową wiosenną bitwę toczy już nie ten żołnierz, spod Monte Cassino. Tamten — ze wchodnich ziem Rzeczypospolitej — z poza straszliwej linii Curzona — już się wykruszył z szeregu, spoczywa na cmentarzach Italii, lecz rany w szpitalach. Na zmianę pójdzie młody, młody żołnierz, jak młody las, ze Śląska, Pomorza, Poznania. Żołnierz, który zdążył zmienić mundur niemiecki na polski. Pójdą chłopaki z Francji przybyli, gdzie ich ojcowie chleba poza Polską szukali.

Strategia duszy żołnierskiej wskazuje Bolonię jako coś, co polską ręką trzeba koniecznie chwycić i rzucić na targowisko opinii świata.



Bolonia. Palazzo di Re Enzo.

Ostatnia większa przeszkoda nad rzeką Idice, skąd do Bolonii zaledwie kilkanaście kilometrów. Księżyc i noc gwiaździsta. Na całym froncie zmagania są ciężkie. Godzina upływa za godziną, a do rana trzeba doskoczyć koniecznie i nie oddać nikomu palmy pierwszeństwa.

Los zrząda, że tuż na południe od miasteczka Idice majorowi R. z 9 baonu słynnej Dywizji Karpackiej, na czele 2-ch kompanii udaje się przejść brody przez rzekę. Koło godziny dwunastej — tak mało czasu do świtu — trzeba przejść kilkanaście kilometrów. Na drodze miny. Pic-

— Tu wystarczy tylko jeden pluton zostawić. Niech się z tymi Niemcami paprze. A my — Panie Pułkowniku — naprzód i naprzód. Trzeba chętnie wywieść jeszcze przed ranem.

— Cóż ci tak bardzo pilno? —

Przeszywają mnie — jak ostrym nożem — oczy chłopaka.

— Trzeba ich tam w kraju czymś pocieszyć!... —

A więc zostawiam garść chłopców do „paprania”. Reszta pośpiesza naprzód. Zaczyna już świtać. Przedmieścia poza nami. Przed nami sze-



*Żołnierze 9 Batalionu Dywizji Karpackiej*

(Fot. A. Chruściel)

nierzy szturchają szpikulcami, chcąc je unieszkodliwić. Ale tak nie dojdzie się i do wieczora! Precz te ostrożności — naprzód!

I lecą chłopcy galopem, przeskakując miny. Niemcy odchodzą od rzeki, odgryzają się tu i ówdzie. Nasi idą wciąż naprzód. Obsypują ich drzazgi wysadzanych tuż przed nimi mostów. Natychmiast obchodzą wbród. Utyłane to, obłocone i mokre. Za nimi już San Lazare, cuchnące straszliwie od rozkładających się trupów.

I już przedmieścia Bolonii. Czerwony domek z napisem „Due Madonne” i teźże nazwy ulica. Strzały. Wywiązuje się bitwa. Nowe zatrzymanie. Czas nagli. Chłopcy zdenerwowani. Pytam o powód. Na to jeden z nich z oburzeniem w oczach mówi:

roka Via Emilia, już w mieście, a nad nią wiadukt i tor kolejowy. Nagle wiadukt leci w powietrze, opada, tamuje drogę. Poprzez ruiny bez wahania i dalej miejską, piękną ulicą. Krużganki i krużganki. Ludzi coraz więcej, jakieś zamieszanie, strzały. Wydaje się, że całe miasto strzela. Rozpoczęły się w mieście jakieś walki. Nic to. Dalej i dalej. Ginie zupełnie wśród tłumy grupka kilkudziesięciu ludzi w polskich mundurach. Padają pytania.

— Chi siete? —

— Polacchi! —

— Bravi, bravissimi! —

Nareszcie Magistrat. Zamknięte drzwi. Po silnym pukaniu ktoś otwiera. Wpadamy do pięknych sal, na balkon. Żołnierze przed

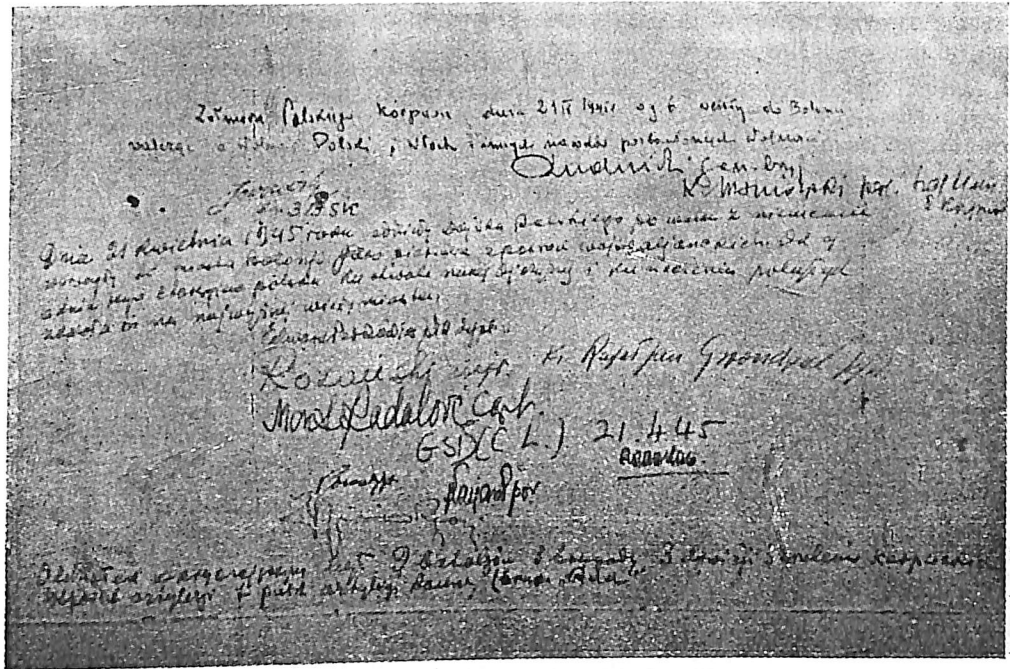
Magistratem. Zmęczeni, zabłoceni, głodni. Otaczają ich tłumy. Na rynku mrowie głów. Przybywają władze magistrackie. Witają. Po 15 minutach z trzech balkonów zwisają polskie długie chorągwie.

Z balkonu widać wysoką, cienką, piękną wieżę. Żołnierze wskazują na nią. Żądamy polskiej flagi tak wielkich rozmiarów, by była widoczna z tej wieży. Za kwadrans jest już gotowa. Wchodzi na wieżę ks. Grzondziel, kapelan baonu, i za chwilę widzimy symbol Rzeczypospolitej, symbol naszej tęsknoty i wysiłków. Rok temu załobotała polska chorągiew

będziemy, a zwłaszcza do tych, poza linią Curzona? Czy zastaniemy tam swoich, których teraz masowo wywożą na Syberię, na zatracenie, na niedolę?...

O godzinie 8.10 wjeżdża na plac kilka czołgów amerykańskich. Wychodzi z nich jakiś oficer, rozgląda się, wchodzi na balkon. Jest to amerykański generał. Pyta, jak dawno jesteśmy w mieście. Odpowiadamy, że na tym balkonie jesteśmy od godziny szóstej, a w mieście — znacznie wcześniej. Wypręża się generał, salutuje i gratuluje. Jaka szlachetna postawa!

Strategia duszy żołnierskiej jest prosta,



(Fot. A. Chruściel)

„Polska karta“ księgi pamiątkowej Zarządu Miejskiego m. Bolonii

na Monte Cassino... Lopot chorągwi z wieży Bolonii niesie wiatr nad cmentarzem Monte Cassino z wyrazem pamięci serdecznej o tamtych, którzy dźwigali ją na wieżę klasztoru.

Jest godzina szósta rano.

Wpisujemy się do księgi pamiątkowej miasta.

Przybywa kardynał w szatach pontyfikalnych, aby witać nas i błogosławić. Tłumy coraz większe. Dużo kwiatów. Już całe miasto wie, że to Polacy. Słychać jeden wielki krzyk:

— Evviva Polonia! Evviva Polacchi!  
Evviva Liberatori!

Kiedyż tak do polskich miast wkraczać

tak jak ta dusza. Co czarne — to czarne; co białe — to białe. Co honor — to honor; co hańba — to hańba. Wszelkie zawile kalkulacje, podsycane niewiarą tchórzów i cynizmem podłych przecina ostrzem prawdy i prostolinijności. A biada temu, kto honoru pracy żołnierskiej zrozumieć i uczcić nie potrafi! Dosięgnie go wszędzie szlachetny żołnierski gniew i karząca ręka.

Na chwałę i wielkość tylko Rzeczypospolitej łopotwały flagi w 1944 roku nad Monte Cassino i w 1945 roku nad Bolonią. Za waszą i naszą wolność — odwieczną prawdę bytu polskiego narodu i realnego postępowania w dziejach.

Edward Perkowski

# Każdy polski Naczelny Wódz...

Generał Tadeusz Bór Komorowski zgodnie z rozkazem Prezydenta R. P. objął obowiązki Naczelnego Wodza. W szczególności ciężkiej chwili. Gdy nieznanie jutro kryje przed nami zarówno możliwość jutrzejskiej prawdziwej wolności dla naszego umęczzonego narodu, jak również możliwość strasznych, długich dni dalszej sowieckiej niewoli. Na czele sił zbrojnych Rzeczypospolitej staje dowódca bohaterkiej Warszawy, który jak nikt inny wiedzieć musi, że tak jak nie przysła z prawego brzegu Wisły pomoc dla krwawiącej polskiej stolicy, tak nie masz wolności dla naszego narodu, jak długo na ziemi jego bagnety sowiecki dyktuje i zastępuje prawo.

Przeostał pełnić obowiązki Naczelnego Wodza generał Anders, zwycięski Wódz, owiany legendą Monte Cassino, człowiek, który prócz laurów bojowych zdobył dla siebie i swojej jednostki — Drugiego Korpusu — najzaszczytniejszy dla Polaka tytuł najbardziej bezkompromisowego polskiego ośrodka niepodległościowego poza granicami Kraju.

Na kilka dni przed ogłoszeniem ostatniego postanowienia Prezydenta R. P. propaganda moskiewska w furii nienawiści do wszystkiego, co prawdziwie polskie i niepodległościowe połączyła znakiem równości wszystkich trzech, którzy ostatnio dźwigali na sobie ciężar obowiązków Naczelnego Wodza. Okazało się wg. propagandy moskiewskiej, że przeszkodą dla ułożenia stosunków polsko-sowieckich są Piłsudczycy, a głównych Piłsudczyków jest trzech: Sosnkowski, Anders, Bór.

Jest w tym ponurym moskiewskim ataku prawda polskiej rzeczywistości. Już dawno stworzona przez Wielkiego Marszałka instytucja Naczelnego Wodza, tak polska z tradycji i jej ducha, wyrosła po Piłsudskim ponad osobę samego Naczelnego Wodza, stała się czymś więcej niż obwarowaną specjalnymi postanowieniami instytucją, stała się symbolem Polski i walki o Jej wielkość i niepodległość.

To też dookoła każdego Naczelnego Wodza skupiały się zawsze wszystkie ataki jawnych i ukrytych wrogów Polski. Ta sama wściekłość, z jaką przeciwne polskiej niepodległości moce atakowały każdego Naczelnego Wodza była i będzie dla nas sprawdzianem, że naczelne dowództwo w dobrych, prawdziwie polskich, spóczywa rękach.

Gdy stanowisko tak ważne i odpowiedzialne tak wielka, jak ta, którą Polska na barki swego Naczelnego Wodza wkłada, żywym człowiekiem wypełnić trzeba, aż nadto wielki pozostaje margines na taktyczne różnice zdań, czy nawet na ludzkie błędy.

Jedno tylko polska racja stanu wyklucza. Wykluczyć każde możliwości, by dookoła Naczelnego Wodza pętała się rodzima małość lub ta czy inna mała polityczna gra. Małość...

Oto dzień zwycięstwa nad Niemcami nie przyniósł naszemu narodowi wolności.

Oto Kraj nasz znalazł się pod sroższą jeszcze niż niemiecka okupacją, przewała się przez morze cierpienia ponad ludzką wyobraźnię. Oto siły i po stronie komunizmu i po stronie kapitalizmu pracują nad możliwością osiągnięcia politycznego kompromisu, który dla naszego narodu oznacza fizyczne skartowanie, jeśli nie likwidację.

I oto na nasze największe nieszczęście znalazła się grupa dobrowolnych agentów obcych interesów, jak gdyby niedość było tam, w Kraju, agentów sowieckiej przemoocy. Grupa, która do spółki z obcymi nad sprawą Polski wywiesiła płachtę Jałty, jakby ku ironii najwyższej w organie nazwanym „Jutrem Polski” głosi swe poglądy.

Kraj cały otoczony już niemal szelonym drutem sowieckiego terroru. Co jedynie wolne, co jedynie ma prawo głosu i polską, choć z obcej fabryki, karabin w rękę; skupione w jednym wielkim obozie niepodległościowym poza granicami Kraju.

Żołnierz polski znalazł się w takiej sytuacji w dyspozycji nowego Naczelnego Wodza. Lecz obowiązki Naczelnego Wodza sprawować zaczął nie kto inny a Wódz Armii Krajowej, którego współtowarzysze, o ile nie przeszli przez niemiecką niewolę, są tropieni jak przestępcy lub już dziś są na katorżnej pracy tam, gdzie wielu z nas cierpiało wczoraj.

Pod dowództwem Naczelnego Wodza znalazł się ten sam żołnierz, którego prowadził wczoraj generał Anders, a przedwczoraj generał Sosnkowski z tymi samymi ideałami i tą samą wiarą streszczającą się w krótkim żołnierskim wyznaniu: „całość, wolność, niepodległość”.

Żołnierz, dla którego nie ma powrotu do Polski innej niż prawdziwie wolnej od wszelkiego okupanta, nie ma innego niż zwycięskiego powrotu.

Żołnierz, dla którego synonimem nieprawości stała się linia Curzona, dzieląca jego rodzinny Kraj, a synonimem podłości Polak służący dyktatowi Jałty.

Z duszy tego żołnierza czerpać będzie swą moc każdy polski Naczelny Wódz. Z duszy tej bowiem, zahartowanej w walkach Warszawy i Monte Cassino, w cierpieniach Kozielska i Buchenwaldu, zmartwychwstanie Polska.

Jarosław Żaba

# Wielkości, gdzie twoje imię?

Szczyty. Ogromne, nad ludzką miarę kładzione, spiętrzone w kataklizmach tworzenia zwaly łańcuchów górskich, ogromne gładkie zbocza, poszarpane zwaliska gigantycznych głazów. A z nich, gdy spojrzeć w dolinę, aż po przeciwległy łańcuch szczytów — wszystko na dole wydaje się małe, mrówcze, nieważne.

Tu kiedyś, przed świtem dziejów, tytaniczni, zapomniani mieszkańcy ziemi wznosili z olbrzymich głazów swe tajemnicze budowle, przez starożytnych cyklopom przypisane. Tu potem Grecy — nim Rzym się zrodził — bogów gromowładnych czcili. Tu twórca największego zakonu założył gniazdo, zda się by lepiej słyszeć głos, co na innej górze z ognia

ciskał słowa, które od tysiąceci grmią z Synaju: „Jam jest Pan, Bóg twój”. Tu przez wieki szła wszelka tęsknota do wielkości. Tu, na Monte Cassino, wszystko jest wielkie.

Dziś ten amfiteatr wzrósł jeszcze i jeszcze spotężniał ogromem zwalisk Klasztoru. Ta ruina — to nie ruderka po pogorzeli. To jakby szkielet minionej wielkości, która jeszcze większą moc powaliła, to jakby ślad pobożniska olbrzymów.

\*\*\*

Przyszli z bezmiernej dali. Z Sybiru i Kamczatki, przez tundry i śnieżne stopy, przez skwar Iraku i piaski pustyni. Szli tutaj, wszędy.



W modlitwie o Wilno i Lwów (Fot. W. Ostrowski)

Tym wózem i tamtą przełęczą. Zaporowy ogień. Huk nieustanny tysiąca gromów. Noc. Walec pocisków artylerii. Szli. I tam się wspinali. A tam, gdy zabrakło naboju, kamienie — i „Jeszcze Polska nie zginęła”. I nie cofnęli się. A tam musieli zawrócić. I znowu poszli po polach minowych, pod huczącym sklepieniem gromu, nocą. Z tamtej ciężyny po jednemu się darli w ogień, w śmierć. I tak przez godzinę, przez noc, przez dobę, przez tydzień, w napięciu woli, w potężnym zajadym zapamiętaniu, pod niebem ognia i stali, w bezustannym ryku dział.

Pobojowisko olbrzymów.

\*\*\*

Samosierra? Ależ tu na każdej rzeczce, w każdym przejściu, na każdym zboczach zryw szwoleżerski się wznawiał sto razy i nie na chwilę, nie na czas końskiego tchu, lecz przez szereg dni i nocy. Wiedzieć? Ależ tam w jednym natarciu pierzchł nieprzyjaciół na sam widok skrzydlatego buńczuka króla Lechistanu. Kircholm, Chocim, Kłuszyn? Drobne, krótkie starcia. Żadne nie miało tej potęgi godnej wielkości tych gór i tych szczytów. Więc może — Warna? Może Cecora? Może największa duchem — Warszawa?

Tam była wielkość. Lecz tu, tę wielkość stokrotnie podniosło zwycięstwo. A gdy myśl

szuka w zmaganiach przeszłości czegoś, co obok Monte Cassino można wymienić — to chyba Maraton i Grunwald.

\*\*\*

Wielkość. Niezrównana, tytaniczna wielkość, jak wielkość żywiołów, prowadzonych ręką Bożą po wszechświecie. Wielkość wspólnego porwy, w którym topniała wszelka małość ludzi. Wielkość, która ich — bez ich wiedzy — nazaczyła piętnem niezmałym, jak ongi oblicze Mojżesza. Wielkość godna narodu, skazanego na nią, narodu, który by być, musi być wielki. Narodu, który jest wielki — więc jest i będzie.

\*\*\*

Siła jest równa swej przeciwwadze. Temu tytanicznemu natarciu opór stawiali Niemcy. A przecież — nie doróśli do wielkości natarcia. Nie tylko dlatego, że ulegli. Ale dlatego, że sprawa ich „Lebensraum” nie ma w sobie wielkości, jaką ma ogromna, święta sprawa walki o wolność naszą i waszą. Bo za tą walką jest wiew woli Boga, który świat stworzył na obraz swój i swoje podobieństwo — wolnym.

„Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni jej służbie”.

Ks. Walerian Meysztowicz

## Na 575

Ażurowy, czarny krzyż na 575 — pomnik Kresowej, jej trudu i chwały w dniu zwycięskiego polskiego boju o Monte Cassino.

Krzyż ustawili z podpór mostowych Bailey'a saperzy dywizji w pierwszych dniach czerwca 1944 roku: Na szczyt 575 wchodziło się wtedy przez rozrzucone na stoku bunkry niemieckie, żadnej ścieżki nie było. 10 ton materiału wnieśli na własnych barkach żołnierze, nie można wtedy było wynająć robotnika, nie wróciła jeszcze ludność włoska do okolicy, przez którą przeszła straszliwa wojenna nawała.

W rocznicę bitwy Kresowa ubrała swój pomnik w oprawę z trawertynu, skały i cementu, by przy tak oprawionym pomniku-symbolu swego dzieła uczcić w rocznicę bitewną swych poległych, a żywym przypomnieć prawdy walki polskiej na ziemi włoskiej i te szczególniejsze prawdy, które dywizja polskiego Wilna i Lwowa w duszach swych żołnierzy jak skarb najdroższy chroni i pomnaża.

Jeszcze przed czterema tygodniami krwawiła Kresowa w najcięższej bitwie, w walce o Bolognię, by nad kanałem-rzeką Gaiano sięgnąć po rozstrzygające zwycięstwo, jak przed rokiem przez Widmo, San Angelo sięgnęła ku 575, by za cenę ofiar w Korpusie najcięższych, za cenę życia dowódców swej wileńskiej brygady i swego pierwszego baonu wziąć rozstrzygnięcie.

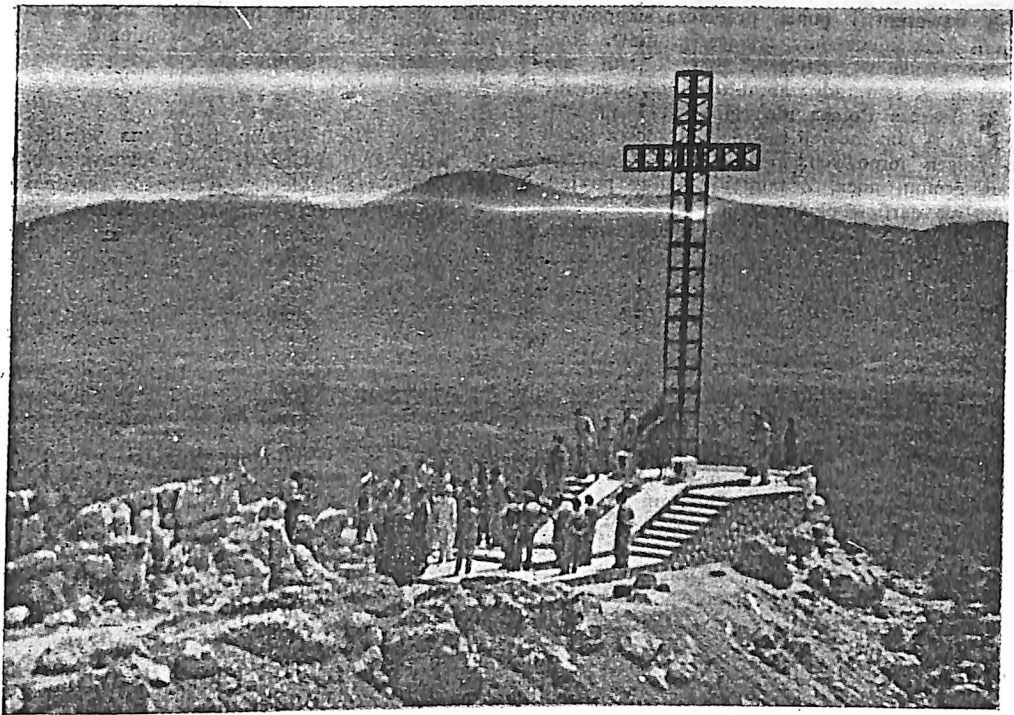
### Praca

Do obozu rozbitego obok ruin Mass Albanet wysłała dywizja projektodawców pomnika: inżynierów Królikowskiego i Urbanowicza. W ekipie znalazł się i rumiany, niespożyty podporucznik Matyszewski i podchorąży, odwiecznym prawem podchorążego spełniający funkcje wielorakie i płatnika i nadzorcy nad robotnikami cywilnymi i tłumacza. Podchorąży nie doczekał dnia poświęcenia płyty pod krzyżem. Inny rozkaz, ten z typu w wojsku najprzyjemniejszych kazał mu pracę na wysokości 575 metrów nad poziomem morza przerwać i pakować się do szkółki, by zdawać maturę.

Saperzy i kierowcy wraz z 40 włoskimi robotnikami rozpoczęli pracę 9 kwietnia, ukończyli 18 maja na kilka godzin przed odsłonięciem tablicy. Dzień pracy wynosił w ostatnich dwu tygodniach 14 do 16 godzin na dobę.

Spółka z bardzo ograniczonymi środkami i nieograniczonym zapasem zapachu i humoru rozbiła swe namioty tuż przy rozbitych amerykańskich czołgach, obok ustawiła swój 10 wozowy park i zaczęła...

Zaczęła od drogi. Poprowadzono ją serpenzynami na szczyt 575, budując 1700 metrów „własnej drogi”, o której twierdzą, że nie masz równej w całej okolicy. Wszak kapral Grygor-



*Krzyż na 575 panuje nad doliną Liri*

(Fot. W. Ostrowski)

cewicz wjeżdża na nią „czwórka” swą 10 cwt-taksówką o każdej porze dnia i nocy. Prosi tylko, by śpieszyć się z wycieczkami, bo po kilku deszczach, gdy prace się skończą, szybko po „własnej” drodze tylko na własnych nogach będzie można wjeżdżać pod górę.

Przedsiębiorstwo zasięgiem obejmowało niemal całe Włochy. Trawertyn wozili z Bagno di Tivoli za Rzymem. Cement, prócz tego, który pożyczili w Korpusie, przywieźli spod Bolonii, żywność przywozili z m. p. marszałka Aleksandra z Caserty, Naafi z Neapolu. Piasek z odległości 23 kilometrów. Wodę z odległości 30 kilometrów.

Kompresor pracował dzień i noc. Wiercił dziury na ładunki do wysadzania skał lub małe otwory do przymocowania liter napisu.

A skały wysadzono 300 metrów sześciennych. Na roboty saperskie zużyto prawie trzy tony materiałów wybuchowych, niezależnie od 720 min.

Z dołu przywieziono około kopy trzytonowych wozów piasku, przeładowano go na lżejsze wozy, podwieziono pod krzyż, gdzie przez ostatnie 40 metrów jeszcze raz przeniesiono na plecach, tym razem przeważnie włoskich.

Ukończono budowę w rekordowym czasie w terminie, by w podziękowaniu mogli usłyszeć: „Ja w saperów 5-tej dywizji wierzę jak w ewangelię”.

### **Ewangelia**

Ewangelię zaś swoją wypisali na trawertynowej płycie u stóp pomnika. Pod tarczą z herbem i datą bitwy napis przypomina:

„Żołnierze Polskiej 5 Kresowej Dywizji Piechoty, przemocą z Ojczyzny wyzuci, poprzez więzienia, obozy, tundry Sybiru, pustynie i morza — w marszu do Polski — stoczyli tu siedmiodniowy krwawy bój. Poległo 503, 1531 odniosło rany”.

Obcym napis w łacińskim języku tłumaczy:

*DIII VITAM DEDERUNT*

*MDXXXI VULNERA ACCEPERUNT*

Tę płytę łączy z podstawą krzyża płyta większa, ukośna. Herb na niej starczy za tomy pisane: — znaki Orła, Pogoni, Michała Archanioła. Herby wolności Warszawy, Wilna i Kijowa. Herby — symbole walki o wolnego Polaka, wolnego Litwina, wolnego Ukraińca. Żaden z nich dziś nie ma wolności, a wszyscy jednaką płacą niewolą za błędy i winy wzajemne.

Cień ażurowego krzyża kładzie się orna-  
tem na napis na płycie :

*„W imię praw boskich i ludzkich  
Pro divino humanumque iure  
Za Waszą wolność i naszą  
Pro sua aliorumque libertate*

*W spełnieniu testamentu przodków  
Mandata a vita implentes*

*W wykonaniu obowiązku żyjących  
Vivorum officiis fideles*

*Jako drogowskaz dla przyszłych pokoleń  
Ut posteris vias ostenderent*

*Za Wilno i Lwów — symbole  
mocy Rzeczypospolitej*

*Pro Vilna Leopoliue civitatibus Reipublicae  
signis virtutis*

*Walczyli Umierali Zwycięzali  
Pugnauerunt vitam dederunt vicerunt”.*

U samej podstawy krzyża dwie urny. Z pól  
bitewnych Kresowej ziemię w nich zamknie  
kamień włoski i herby Wilna i Lwowa.

Dziś, w rocznicę zwycięstwa, u stóp krzyża  
— pomnika Kresowej modli się wśród żołnie-  
rzy i ksiądz Białorusin. Zapewne i on nie my-  
śli kategoriami prostego nawrotu do przedroz-

biorowej Rzeczypospolitej, która jego stolicę,  
Mińsk, chroniła od wschodniego najeźdźcy,  
jak nie myśli o tym żaden z modlących się  
u stóp krzyża Polaków. Ale i ten ksiądz Bia-  
lorusin i Polak stojąc obok siebie wiedzą, że  
ci, co tu padli naprawdę „za waszą i naszą  
wolność” polegli „jako drogowskaz dla przy-  
szłych pokoleń”, by w walce i to walce wspó-  
lnej, w walce, w której czekają ofiary i wiel-  
kość na miarę Cassina szukać *wspólnej doli i  
wspólnego ocalenia*.

„Bo jedna jest sprawiedliwość, jedna prawda  
i jedna wolność na świecie dla jednostki i na-  
rodu — mówi dowódca Kresowej. A linia po-  
działu, która istniała przed rokiem, gdy oni  
złożyli swe życia, nie upadła a istnieje i dzieli  
świat na tych, którzy walczą o wolność, o praw-  
dę i na tych, którzy się wolności przeciwsta-  
wiają”.

Krzyż — pomnik Kresowej na 575 widać z  
daleka. Ze wszystkich wzgórz, na których wiel-  
ka bitwa brała nieubłaganie ofiary swoje, z dro-  
gi rzymskiej. Niechże równie daleko rozejdzie  
się wyznanie wiary brązowymi literami wypisane  
na trawertynie pomnika wzniesionego dużą  
radosną pracą ku czci Wielkiej Ofiary.

J. Ż.



(Fot. A. Chruściel)

*Dowódca Dywizji Kresowej składa wieniec po mszy żałobnej w Acquafondata*

# War pictorial news

Z troski się nie wywikłam,  
niedoczekanie moje,  
do tęsknoty przywykłam,  
rozpaczy się nie boję

Może będę na wojnie,  
może nie będę (z musu)...  
W kinie „Orion” spokojnie  
patrzę na „Pictorial News’y”.

Bomby na Hamm, na Essen,  
na Berlin, na Kolonię!  
Za każdą bombą leczę  
sercem na spadochronie

i błogosławię dymom,  
i błogosławię zgłiszczom,  
i aniołom-olbrzymom,  
niechaj lecą i niszczą!...

A potem kręcą bujde,  
pełną głupich awantur,  
więc chyba sobie pójdę  
i pomyślę o tamtym,

co powraca bez przerwy  
i nie daje spokoju,  
co mi serce z rezerwy  
codzień rzuca do boju...

Z troski się nie wywikłam,  
smutkom się nie opędzę,  
do tęsknoty przywykłam...

Byle prędzej już, prędzej!

Władysław Brontewski

## Ku Bałkanom

Wiadomości, jakie z trudem przenikają poza granice państw Europy wschodniej i środkowej, okupowanej przez Armię Czerwoną, nie są ani pomysłów, ani pocieszające. To też przedstawiciele tych, tak niebacznie przez świat anglo-saski zlekceważonych, ludów ponownie nawracają do myśli o konieczności federacji narodów Międzymorza bałtycko-czarnomorskiego. Wyrazem tego jest m.in. niedawna deklaracja londyńska przedstawicieli 14 narodów Międzymorza.

Koncepcję tę już na początku obecnej wojny wysunęła Polska. Kiedy jednak Rosja, wbrew zresztą swej woli, znalazła się z musu w obozie demokratycznym, porzuciła ona zwalczanie tej idei, twierdząc, że jest to umyślnie odgradzanie Związku Sowieckiego od Europy. Anglia przede wszystkim, a potem i Stany Zjednoczone poszły w tym także zakresie na ustępstwo wobec „lojalnego i umiarkowanego” sojusznika, a potulny sługus Kremla, pan Beneszer przerwał co prędzej rozmowy z rządem R.P.

Lecz życie jest silniejsze nawet od Stalina i grzebana przezeń myśl federacyjna odżywa ponownie. Panuje też naogół przekonanie, że rolę kierowniczą powinna mieć Polska, która już ongiś stworzyła unię polsko-litewską, a także dążyła do oswobodzenia ludów bałkańskich spod władzy turec-

kiej, by powstała jednolita całość wolnych narodów od Bałtyku po morze Czarne.

Zaobserwować to można przyglądając się np. anty-tureckim przygotowaniom Władysława IV Wazy.

\* \* \*

Przystępując do wykonywania planu rozprawy z Turcją, król polski starał się poznać opinię ewentualnych sojuszników i w tym celu sięgnął najpierw do Rzymu. W r. 1633 do stolicy papieskiej przybyło wspaniałe poselstwo, prowadzone przez Jerzego Ossolińskiego.

Jakkolwiek oficjalnym pretekstem poselstwa było powiadomienie Urbana VIII o objęciu tronu przez Władysława, Ossoliński przedstawił także niewątpliwie i ogólne zarysy planu swego władcy, przyjęte bardzo przychylnie przez papieża.

Krucjata anty-turecka była od dawna ulubioną myślą polityki Stolicy Świętej, zwłaszcza od r. 1453, kiedy Mahomet II zajął Konstantynopol. Był okres, gdy nadzieje papieżstwa opierały się na Hiszpanii i jej zwycięstwo nad flotą turecką pod Lepanto zdawało się już zapowiadać decydujący bój ze światem bałkańskim. Lecz niepowodzenia Filipa II w Niderlandach i w walkach z Elżbietą angielską przekreśliły dla papieżstwa kartę pi-

renejską. W tym samym jednak czasie począł wysuwać się inny sojusznik — Polska Stefana Batorego. Hołdownik z musu, jak był on w okresie wiadania Siedmiogrodem, Batory bardzo poważnie myślał o rozprawach z sultanem, swoim dawnym zwierzchnikiem. Dla tej myśli gotów był nawet iść na pewne, niekoniieczne dla Polski wskazane, ustępstwa, czego dowodem rozejm z Moskwą w Jarmie Zapolskim, ale przedwczesna śmierć w Grodnie (12 grudnia 1586) nie pozwoliła skutecznici tych zamiarów. Następnie zapagnął je wcielić w życie Władysław IV, zwycięzca spod Smoleńska.

Istniały zresztą inne jeszcze przyczyny, skłaniające Urbana VIII do obietnicy popierania planów Wazy. Pomimo bowiem wszystkiego tego, co dzieliło papieństwo i cesarstwo, Stolica Piotrowa chciała widzieć w toczącej się wówczas wojnie trzydziestoletniej zwycięstwo Habsburgów, obawiając się, że każdy inny zwycięzca będzie popierał protestantów i będzie przez nich podtrzymywany. Król polski, znany ze swej tolerancyjności i mogący zjawić się na terenach Rzeszy jedynie, jako współzawodnik Ferdynarda II, nie rokował w tym wypadku pójścia po linię polityki Rzymu. Co więcej, ewentualne sukcesy Władysława w walce z dynastią cesarską byłyby również powodzeniem Francji, czego sobie papież wcale nie życzył.

Tym niemniej właśnie polityka francuska brała poważnie pod rozwagę możliwość konfliktu polsko-tureckiego. Małżeństwo Wazy z Ludwiką-Marią Gonzaga obliczone było przez kardynała Richelieu w znacznym stopniu na to, by siedmiuset tysiącami jej posagu finansować wojnę z półksiężycem. Jednym z pretekstów do sprowokowania jej miały być pretensje dynastyczne królowej, która wywodziła swój ród od Paleologów bizantyńskich. Wielki kardynał spodziewał się w ten sposób pokonać rękoma władcy polskiego Odrodzające się właśnie państwo ottomańskie i zarazem zapobiec możności nawrotu Władysława IV w kierunku Rzeszy niemieckiej.

Coraz głośniejsze przygotowania króla polskiego do wojny z niewiernymi znalazły niezwykle silny odgłos na półwyspie bałkańskim. Tamtejsza ludność słowiańska niecierpliwie wyczekiwała pojawienia się sił Rzeczypospolitej, dając temu wyraz przez utwory poetyckie i inne symboliczne akty. W r. 1638 poeta chorwacki Gundulicz pisał o chocimskim triumfie ówczesnego królewicza Władysława. Katolicki arcybiskup Grecji Piotr Parcewicz przybył z tajnego zjazdu Bułgarów, obiecując królowi polskiemu koronę bułgarską oraz wybuch powstania grecko-bułgarskiego w momencie przybycia wojsk chrześcijańskich. Władysław IV przyjął go życzliwie, ofiarując swój portret, a Ludwika Maria wręczyła mu haftowaną własnoręcznie chorągiew polsko-bułgarską. Jeszcze w r. 1646 po wymuszonym przez postawę szlachty wyrzuceniu się anty-tureckich planów króla, poseł wenecki Tiepolo wprowadził na zamek warszawski dwóch zakonników bułgarskich, którzy błagali Wazę o koronowanie się na króla bułgarskiego. Nawet w ikonografii cerkiewnej te nastroje wyczekiwania znalazły swe odbicie, gdyż artyści ówczesni bardzo często nadawali wizerunkom św. Jerzego rysy władcy polskiego.

Niestety, plany królewskie nie zostały wprowadzone w życie. Zastanawianie się nad przyczynami tego wykracza poza ramy niniejszego tematu. Stwierdzić jednak można, że załamane się planów Władysława zniszczyło całkowicie te nadzieje, jakie w Polsce pokładały plemiona Słowian południowych, znajdujące się pod panowaniem sułtańskim.

\* \* \*

Serce Władysława IV Wazy spoczęło w katedrze wileńskiej u stóp góry Zamkowej, jakby w ciszy tej świątyni chciało zapomnieć o swych bólach i zawodach. Myśl jego jednak przeżyła wieki. Dziś te same narody słowiańskie, jak przed wiekami, spoglądają na Polskę, czekając od niej hasła wyzwolenia od najgorszej tyranii, jaka kiedykolwiek istniała.

Paweł de Laval

## Kresy czy szczyty?

Ziemie przygraniczne, ukraińskie, kresowe odgrywają w Polsce specjalną i bardzo ważną rolę. Ze względu na swoje położenie stanowią one szaniec obronny, który przyjmuje na siebie pierwsze, a więc przeważnie najsilniejsze ciosy sąsiada, gdy dochodzi do zatargu zbrojnego, walczą najuporczywiej, krwawią się najob-

fiej, — z drugiej zaś strony właśnie one reprezentują kulturę swego państwa wobec sąsiada, który z przykładów najbliższych, najlepiej mu znanych wyciąga uogólniające wnioski, — stąd ciężary na nich obowiązek intensywniejszego życia kulturalnego. Te dwa zasadnicze, sprzeczne ze sobą zadania stanowią osobliwy przywilej

ziem kresowych: przywilej zwiększonego obowiązku. Życie kulturalne tych ziem, raz po raz odbudowywane na zgliszczach powojennych, ma charakter walki, — walka zbrojna zwykle toczy się pod hasłem obrony najwyższych wartości kulturalnych. To wytwarza odrębny styl życia i kształtuje odmienny w stosunku do ogółu obywateli typ „kresowca”.

Polskie ziemie kresowe, tak zachodnie, jak wschodnie wykazały w ciągu wieków

ralnych i wytwarzały, chwilowe co prawda, normy pokojowego współżycia narodów tak krańcowo niepodobnych do siebie, jak Polacy i Niemcy. Podział na dwa wrogie obozy na zachodzie jest wyraźny.

Na wschodzie granica walczących obozów często jest nieuchwytna ze względu na wielkie tereny po tej i tamtej stronie, zamieszkałe przez ludność ruską różnych szczepów i odłamów, — przerwy zaś pomiędzy wojnami zwykle nie zapewniają



Wilno. Góra Zamkowa.

wyjątkowy hart ducha, imponującą wytrzymałość w walce i zdumiewającą żywotność fizyczną i duchową. Pod tym względem nie ma pomiędzy nimi żadnej różnicy, ale charakter walk, prowadzonych na zachodzie i wschodzie, oraz skutki tych walk są odmienne.

Walki na zachodzie były niezwykle uporczywe i zawzięte, ale miały przerwy, które dopuszczały wymianę dóbr kultu-

pokoju, gdyż ułatwiają rozkładowe oddziaływanie wschodu na psychikę obywateli polskich.

Walki Polski ze Wschodem autentycznym, t.j. muzułmańskim, reprezentowanym przez Tatarów i Turków, miały charakter dziejowego epizodu: były krwawą burzą, która pochłonęła olbrzymie ofiary, ale przeminęła, ustępując miejsca pogodzie. Przyjazne stosunki Polski z Turcją

i rycerska postawa Turcji wobec rozbiórów Polski świadczą, że są walki, które nie kopią przepaści pomiędzy walczącymi obozami i pozwalają na późniejszą zgodę. Są to walki w imię idei, a taki charakter miało dziejowe zmaganie się Krzyża z Półksiężycem.

Wschód inny — słowiański, chrześcijański, reprezentowany przez Moskwę, która z biegiem czasu stała się Rosją a potem przeobraziła się w ZSSR, zbliżył się do granic Rzeczypospolitej, jako drapieżny, nieubłagany wróg, dopiero po unii polsko-litewskiej, t.j. w wieku XV. Wówczas księstwo moskiewskie, zrzucając jarzmo tatarskie, wkładało jeszcze cięższe jarzmo na inne księstwa ruskie. Główny ośrodek wolnego bytu Rusinów wschodnich — Nowogród Wielki padł pod ciosami Moskwy w r. 1478. Moskwa zaczęła bezpośrednio zagrażać Rzplitej, — rozpoczęły się wojny polsko-moskiewskie, uporczywe i krwawe, nie mające ani chwili przerwy, bo moskiewska „przyjaźń” w okresach zawieszenia walk zbrojnych przenosi zmagania z pola bitew w dziedzinę ducha.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że każde bliższe zetknięcie się z Moskwą zawsze pociąga za sobą albo wstrząsy religijne, albo psychiczne załamywanie się szerokich mas. Pierwsze bliższe poznanie Moskwy przez Polaków i Litwinów za czasów króla Aleksandra, ożenionego z Heleną, córką cara Iwana, zaznaczyło się w Wilnie rozpanoszeniem się sekty judaizantów („żydostwujuszczych”) zetknięcie się Polaków z Rosjanami w ich stolicy Petersburgu za czasów Katarzyny, Pawła i Aleksandra wywołało podobny skutek: rozpowszechnienie się zarazy sekciarstwa i masonerii. Wówczas m. in. dworzanin króla Stanisława Augusta, gródzieński szlachcic Aleksy Jeleński opracował w Petersburgu memoriał o zorganizowaniu państwa Goga-Magoga, rządzonego przez... skopców. Petersburgowi i sekciarzom rosyjskim nie mało zawdzięcza Andrzej Towiański, który naukę swoją zasilł pierwiastkami sekciarskiej mistyki rosyjskiej. W dobie obecnej bolszewizm kontynuuje moskiewsko-rosyjskie rozkładowe tradycje, czego przykładem mogą być dzieje wileńskiego akademickiego „Odrodzenia” z Dembińskim i Jedrychowskim na czele: studenci, członkowie katolickiej organizacji, zaczęli od prób stworzenia katolickiego komunizmu, czy też komunistycznego katolicyzmu a skończyli na haniebnej roli agentów NKWD.

Prawie każda wojna z Moskwą-Rosją wyłania zagadnienia religijne, otwierając szerokie perspektywy dla katolicyzmu, a każde ze strony carów moskiewskich i imperatorów rosyjskich kokiełowanie katolicyzmu stawało się zapowiedzią drapież-

nego skoku na zachód i uderzenia w kościół katolicki.

Iwan III, pierwszy z moskiewskich carów kandydat na katolika, nie tylko odrzucił myśl o katolicyzmie po ożenieniu się z wychowanką Rzymu, Zofią Paleologianką, ale starał się rozsadzić polski kościół katolicki za pomocą swych agentów — dworzan Heleny, małżonki króla Aleksandra.

Iwan III, pierwszy z moskiewskich carów Possewina swoją łagodnością, uprzejmością i dobrocią, gdy doprowadził do pożądanego pokoju z Polską, odsłonił przyłbicę i pokazał dzikie oblicze chciwego zaborcy, który jest daleki od myśli o bezinteresownej walce w obronie wiary chrześcijańskiej.

Piotr Wielki, na którego ze szczególną nadzieją spoglądała cała Europa, własnoręcznie mordował bazylianów w ich kościele w Połocku.

Katarzyna, również Wielka, jak Piotr, owa „Semiramida północy”, opiekunka jezuitów organizowała bunty czerni, która poświęcanymi przez popów nożami wyrzynała Polaków, Żydów i unitów, przede wszystkim parochów, — i zadała straszny cios unii kościelnej, likwidując kościół greko-katolicki na mohylowszczyźnie i witebszczyźnie i przysparzając wierze prawosławnej blisko milion przymusowych wyznawców.

Paweł I, ubierający się w płaszcz kawalera maltańskiego, z niemięszką konsekwencją gnębił unię kościelną.

Aleksander I, który pod wpływem przeora dominikanów wileńskich o. Faustyna Ciecierskiego naprawdę stał na progu nawrócenia się na katolicyzm, tolerował sekciarsko-rozkładową atmosferą Petersburga i sprzyjał rozwojowi masonerii. Każde więc zbliżenie się Rosji do Polski — wrogie czy okładnie przyjazne — uderzało w spokój dusz ludzkich i rozkładało lub gwałciło sumienia. Przegrane walki z Rosją zawsze kończyły się katastrofą w dziedzinie religii. Tak było za Katarzyny, tak działo się po upadku powstania listopadowego (likwidacja unii kościelnej na Litwie i Białorusi) i po zdławieniu powstania styczniowego (prześladowania unitów na Podlasiu i Chełmszczyźnie)...

Ten ciągły zamach ze strony Wschodu na spokój dusz obywateli Rzplitej wytworzył konieczność prowadzenia niekończącej się walki w dziedzinie ducha i nadał psychice „kresowców” swoiste piętno. To się wyraźnie zaznacza w stosunku do religii: na polskich terenach wschodnich ludzie jak gdyby się kryją ze swymi przeżyciami religijnymi, ale jeżeli muszą się wypowiedzieć jasno, robią to z wielką siłą i nieraz wpadają w egzaltację. A z drugiej strony właśnie tereny wschodnie dostarczają Polsce pseudo-mystyków, fałszy-

wych proroków, dziwacznych jasnowidzów i wszelakich wykołajeńców duchowych.

Wypróbowanym sposobem przerabiania lub osłabiania psychiki podbitej ludności jest system przesiedlania, stosowany przez Moskali od XV wieku.

Już po zdobyciu Nowogrodu Wielkiego wywieźli Moskale nie tylko ludzi, ale i dzwón, wzywający obywateli na wiece — owe słowiańskie parlamenty szerokich mas, — potem zaś wysiedlanie niepewnych osobników, (czyli ludzi miłujących wolność) stosowali przy każdej wojnie. Tak np. Iwan Groźny po zagarnięciu na pewien czas części Inflant przesiedlił znaczną ilość szlachty połockiej poza Dniepr. W czasach obecnych metodę tę w skali zawrotnej zastosowali bolszewicy przy organizowaniu związkowych republik z usuwaniem „socjalnie niebezpiecznego elementu”. Po traktacie ryskim po stronie sowieckiej pozostała tak wielka i zwarta masa ludności polskiej na mińszczyźnie, że bolszewicy zmuszeni byli stworzyć polski okręg kiejdański. Dziś już prawie nie ma Polaków na polskich ziemiach kresowych, — nie ma nawet miasta Klejdanów, bo zamiast niego zjawił się „Dzierżyńsk”...

Moskwa-Rosja ani w dziedzinie kultury materialnej, ani tym bardziej w dziedzinie kultury duchowej nie dała Polsce nic, — natomiast zabrała i zniszczyła dużo, bardzo dużo...

\* \* \*

Polskie wschodnie ziemie kresowe prowadziły i nadal prowadzą krwawą, ciężką walkę z okrutnym, dzikim i podstępny wrogiem, który łasi się, gdy jest słaby, — niszczy i miażdży wszystko, co ma w sobie tchnienie wolnego ducha i niezależnej myśli, gdy jest silny, — a zawsze knuje zdradę z zamiarem pchnięcia nożem w plecy.

Król Stefan Batory, rozpoczynając wojnę z Iwanem Groźnym, tak scharakteryzował Moskali:

— Ileż razy połamali oni najświętsze przysięgi w tej samej chwili, kiedy przodkowie nasi odganiaли napaść pogan...

Walki zbrojne z Moskwą-Rosją oraz walki w dziedzinie ducha pociągały za sobą olbrzymie ofiary. Nie ma na kresach wschodnich Rzeczypospolitej większego i starego osiedla, któreby w przeszłości nie padło ofiarą pożogi wojennej. Nie ma miasta, któreby nie miało sprofanowanych kościołów, zeszpeconych dzieł architektury europejskiej, zniszczonych zabytków przeszłości. Nie ma starego dworu szlacheckiego, któryby nie oplakiwał utraty bezcennych nieraz bibliotek i zbiorów dzieł sztuki. Nie ma rodziny, któraby nie przechowywała żalobnych tradycji o przodkach, którzy polegali w nierównej walce z bronią w ręku lub zapełnili wię-

zienia rosyjskie, czy też poszli na daleką, bezpowrotną tułaczkę. Nie ma człowieka, któryby nie mógł wskazać na tragiczne wyrwy w najbliższym otoczeniu: ten zginął z dala od Kraju, — tamten przestał istnieć dla narodu, dla wiary praocjów, dla swej rodziny, dla siebie samego nawet...

Sybir stał się drugą polską ojczyzną, bo zaludnił się Polakami z kresów wschodnich. Na olbrzymich terenach imperium rosyjskiego — od Murmańska do Kaukazu i Uzbekistanu, od granic Polski do Kamczatki, nie ma bodaj ani jednego cmentarza, gdzieby nie było grobu polskiego, a groby te bywają, jak w Katyniu, przerażająco pojemne...

Jeżeli więc ogarnąć myślą całokształt wysiłków, dokonanych przez wschodnie ziemie kresowe Rzplitej w dziedzinie walk zbrojnych i odbudowywania po wojnach życia pokojowego we wszystkich jego przejawach, — jeżeli uprzytomnić sobie olbrzymią ilość ofiar w ludziach, skarbach sztuki i kultury, w ziemi ojczystej, raz po raz kawałkami odrywanej od żywego ciała Rzeczypospolitej, — stanie się jasne, że te ziemie wykazują szczególne przywiązanie do Macierzy i bronią się uporczywie przed każdą próbą pogwałcenia ich woli.

Że dzieje się tak nie pod przymusem z zewnątrz, nie wskutek wynaradawiającej polityki lub terroru „rządu warszawskiego”, — przekona się łatwo każdy uczciwy obcy obserwator i badacz naszej przeszłości, jeżeli zastanowi się nad stanem rzeczy po rozbiorach Polski. Polska została wykreślona z mapy Europy, — przestała istnieć, jak twierdzili zaborcy; na ziemiach polskich rządzili obcy; tereny wschodnie zostały ogłoszone za „iskoni russkije”; pomiędzy Warszawą a Wilnem powstała trudna do przebycia granica. I właśnie wówczas w Wilnie i Krzemieńcu zapłonęły dwa wielkie ogniska kultury polskiej, a siła ich była tak wielka, że cudzoziemcy (jak w Wilnie profesorowie — Niemcy Groddeck, Frank i in.) stawali się Polakami, ba, nawet nadsyłani z głębi Rosji Moskale ulegali polonizacji, — Polacy zaś musieli uznać duchowy prymat Wilna. Litwa (nie w dzisiejszym, rzecz jasna, znaczeniu) stała się najpełniejszym wcieleniem Polski właśnie wówczas, gdy państwowość polska została zniszczona przez wrogów.

„Litwin”, który w życiu swoim nigdy nie oglądał Warszawy i Krakowa i nie znał ani polskiego morza, ani polskich gór, Adam Mickiewicz, stał się władcą dusz polskich, wieszczem i wodzem narodu. „Dryblaszy litewskie, które piły mleko zamiast wina” (jak określił filomatów i filaretów późniejszy sowiecki profesor Boy-Zeleński) zostali uznani przez całą Polskę za wzór młodzieży polskiej. Zaścianek szlachecki w Nowogródczyźnie doczekał się zaszczytnego uznania za „mikrokosmos

Polski". A gdy Polska po r. 1831 poszła w osobach swych czolowych przedstawicieli na tułaczkę emigracyjną, tylko ziemie kresowe podtrzymywały intensywniejsze życie kulturalne. Zdumiewająco płodny Kraszewski — poeta, powieściopisarz, historyk — a obok niego Szyrmer, Hołowiński, Placyd Jankowski, Michał Grabowski ( kto dzisiaj zna te nazwiska?) i inni w miarę swych sił i talentów reprezentowali w kraju polską literaturę. Periodyki, jak Ateneum lub Ondyna Druskienickich źródła starały się zapłacić luki w czesopisownictwie polskim. Gdy Rosjanie zabronili wydawania czasopism, zaczęły ukazywać się jednodziówki. W Petersburgu powstał Tygodnik Petersburski, w Kijowie — Gwiazda. Księgarnie wileńskie Józefa Zawadzkiego i Glueksberga obsłużywały swymi wydawnictwami całą Polskę. Nie było wówczas w Polsce literata czy uczonego, poety czy kompozytora, któryby nie miał jakiejś łączności z Józefem Zawadzkiem...

I tak trwała przez całą połowę wieku XIX, aż wreszcie Kraków przejął od coraz bardziej gnębiętego Wilna rolę przewodnictwa duchowego.

Wybuchały, płomienny polski patriotyzm Wilna i ziem wschodnich Rzeczypospolitej w w. XIX nie tylko nie miał cech szowinistycznych, lecz przeciwnie, opiekował się każdym odroczem świadomości narodowej wszystkich narodów Rzeczypospolitej, entuzjastycznie się twórczością ludową — litewską, białoruską, ukraińską, — popularyzował tradycje lokalne.

Kraszewski stworzył w swej poetyckiej wyobraźni mitologię litewską i tak zasur-

gerował ogół, że sami Litwini uwierzyli w istnienie litewskiego Olimpu. Pierwszą gramatykę języka żmudzkiego i słownik polsko-litewski opracował w r. 1823 Polak Kazimierz Niezabitowski. Czeczot układał wiersze po białorusku. Na południowych terenach grupa polskich poetów stworzyła t.zw. szkołę ukraińską. Jazda wołyńska Różyckiego szła w 1831 r. do boju śpiewając po ukraińsku pieśni, ułożone przez Padurrę. Herb Rzeczypospolitej został zmodyfikowany i utrwalił się wreszcie w formie trójpołowego znaku Orła, Pogoni i Archanioła.

Wybuch patriotyzmu polskiego harmonijnie łączył się z odrodzeniem w nowej formie tradycji unijnych...

Wyraz „kresy”, jako oznaczenie ziem wschodnich Rzeczypospolitej, słuszny i naturalny w swej istocie, szczególnie, gdy chodzi o kresy z r. 1772, krzywdzi i pomniejsza ziemie t.zw. kresowe w granicach państwa z r. 1939.

Kresy polskie na wschodzie, czyli najdalszy zasięg dawnej państwowości polskiej, to zgrubsza — granica Dniepru i Kozielsk — to najdalszy punkt kresów polskich. Katyń — to kresy polskie...

Natomiast Krzemieniec, Luck, Pińsk czy Wilno (żeby już nie wymieniać miast po tamtej stronie granicy z r. 1939) — jakież to kresy? Tutaj nie tylko nie kończy się kultura polska, ale znajduje ona i wytwarza coraz to nowe, silne, żywe ośrodki, zdolne do promieniowania na dalekie tereny: a przede wszystkim ziemie te są wspaniałą akademią duchowej mocarstwowości Polski. Krzyżują się tutaj prze-



Liceum Krzemienieckie



*Lwów. Uliczka koło katedry ormiańskiej.*

różne zagadnienia — narodowościowe, wyznaniowe, socjalne i in., domagając się rozwiązania nie na dziś tylko. Gdy Polska znajduje rozwiązanie na daleką metę, staje się wówczas prawdziwym mocarstwem, które ma atrakcyjną siłę ideologiczno-polityczną (jak za Jagiellonów); gdy czuje się bezradna — słabnie odrazu. Na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej jest ukryta wielkość Polski, jak na ziemiach zachodnich jej potęga.

Wielkość bez siły nie może istnieć, ale siła bez wielkości może stać się siłą jałową lub nawet niszczycielską.

To też, nie lekceważąc olbrzymiej wartości ziem zachodnich, nie wolno nie doceniać kolosalnej roli „kresów”, które tak często w naszych dziejach zaznaczają się nie jako najdalsze, a więc najbliższe tereny naszej kultury państwowej i duchowej, ale wręcz przeciwnie — jako szczyty tej kultury.

Ziemie polskie i zachodnie to jak polskie góry i morze. Czy Tatry są lepsze, czy gorsze, cenniejsze lub mniej wartościowe od Bałtyku? Jakież to może być zestawienie?

Nie ma Polski bez gór, nie ma bez morza! Nie ma Polski bez Poznania, nie ma bez Wilna i Lwowa. Komuś mogą się nie podobać nagie, „bezużyteczne” szczyty gór, komuś (wiemy komu) nie podobają się pustkowie pińskich błot. Rzecz gustu. Polsce może zależeć nie na tym, co komu się podoba, ale na tym, co jej jest potrzebne. I nie tylko jej, bo sama Polska — jak długa i szeroka — z jej kulturą i siłą ducha, z jej górami i morzami, z jej błotami, żyznymi łanami, Polska cała jest potrzebna Europie, jako najpewniejsza, w wielowiekowych walkach wypróbowana twierdza kultury europejskiej i ducha chrześcijańskiego.

*Walerian Charkiewicz*

# Polesie

Tak dobrze jest pomyśleć, że gdy świat się wali,  
Gdy ludzie godzą w siebie z dreszczem nienawiści ...

Tak samo wstaje słońce z porannych oparów  
I oświeca pokrzywy porośłe na zgliszczach.  
Tak samo na poleskich pagórkach cienistych,  
Żywicą dymią sosny rozbudzone wiosną.  
Jak co roku brzezina okrywa się liściem  
i z kęp mszarów liliowe zerkają pierwiosniki.

Kiedy płonące gniewem harde oczy młode  
Mierzą, żeby skuteczniej, boleśniej uderzyć ...

Kochliwe słońki ciągną w pożogę zachodu  
Zaby chórem rechotu, od bagiennej łąki  
Wyzłacanej kaczeńcem, wiodą rozhowory.  
I tak samo, jak zawsze, poranne skowronki  
Świergocą nad zbielełym od szronu ugiorem.

Gdy kraje zatoneły w śmiertcionośnych błyskach,  
Gdy uciekają ludy strachem obłąkane ...

Jak dawniej, na nadbrzeżne łągów rozlewiska  
Zlatują się spokojnie wędrowne bociany.  
Tak samo pachną kwiaty i tak szumią drzewa,  
Jak szumiały lat temu dziesięć, sto i dwieście.  
A rozkochane w słońcu roślinie, żyje, śpiewa  
Niezniszczalne, niezmiennie, pierwotne Polesie.

*Jerzy Woszczyński*

## Kaukaz w walce o wolność

Po długotrwałym okresie znojących, jednostajnych i ciężkich zmagani, kiedy ogólna sytuacja całymi latami nie ulegała żadnym zasadniczym zmianom i latami nic nowego nie było widać na horyzoncie dziejowym, wkroczyliśmy w okres, kiedy wydarzenia zasadniczego, rozstrzygającego znaczenia rozwijają się z szybkością kinematograficzną. Ludzkość przeżywa gorączkę szukania podstaw i ram do montowania dalszego współżycia i współpracy narodów, których konieczność walki ze wspólnym niebezpieczeństwem doprowadziła do jednego obozu.

Wszystkie państwa powołane do rozwiązania tego zagadnienia dziejowego i mające możliwość odgrywania decydującej roli w tej sprawie, jednogłośnie i bez wyjątku występują pod hasłem poświęcenia całego swego wysiłku sprawiedliwości międzynarodowej, wolności i równości.

Są to hasła znane, używane i nadużywane od dawna. Wartość i treść tych zasad nigdy nie podlegały kwestii, ale realizacja ich zawsze kryła za sobą coś odwrotnego od ich treści i przyjmowała formę indywidualną i specyficzną, zależną od państw i narodów, monopolizujących prawo ich realizacji.

Najenergiczniej i zawzięcie do zmonopolizowania prawa organizowania ludzkości dąży naród rosyjski, występujący dziś z konkretną receptą przyszłego układu i rozwoju bezwzględnie szczęścia ludzkości. Należy zdać sobie sprawę, w jakim stopniu są nowe i idealne historyczne cele tego narodu i metody, którymi posługuje się on dla osiągnięcia tych celów, oraz dla kogo te cele i metody mogą być nowymi.

Niezmiennność celów polityki zewnętrznej Rosji oraz tradycyjność metod, którymi posługuje się ona dla osiągnięcia tych celów, nigdy

nie skryształizowały się tak jasno i dobitnie w swym całościowym kształcie, jak na terenie kaukaskim i to z jednakową dokładnością, jak za starego carskiego ustroju państwowego, tak i za czasów agresji czerwonej, komunistycznej Rosji.

Od chwili upadku Bizancjum Kaukaz zrobił się celem fanatycznej agresji Turcji i Persji i areną ich rywalizacji. Agresja tych państw doprowadziła do takiego stanu, że nie tylko Kaukaz, ale nawet pojedyncze narody nie mogły utrzymać politycznej całości. Pod ich presją Gruzja była rozbita na dwa królestwa i kilka samodzielnych księstw. Był to okres, kiedy religia odgrywała ważną rolę w polityce międzynarodowej. Ustawiczne wyprawy i najazdy południowych sąsiadów doprowadziły kraj do skrajnego upadku i wyniszczenia. O tej porze na Północy powstała nowa potęga państwowa, w dodatku chrześcijańska i tak samo prawosławna jak Gruzja. Siła i racja czy wzrok i sympatia Gruzji zwróciły się do niej. Była to Rosja, która rosła w gwałtownym i szybkim tempie i zbliżała się ku Kaukazowi. Pierwsze nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Gruzją a Rosją przypadło na panowanie Iwana Groźnego. Były to początki kryształizacji państwowego ustroju tego narodu i dążeń jego polityki zewnętrznej. Rosja ówczesna uważała siebie za spadkobierczynię Bizancjum i jako jedyny wolny naród wyznania prawosławnego głosiła obowiązek walki i pokonania świata mahometańskiego i katolickiego. Synteza tej polityki była ujęta w prostą i chytra formułkę: „Dwa Rzymy padły, (Rzym wobec rozrostu katolicyzmu, oraz Konstantynopol wobec opanowania go przez Turków), trzeci stoi, (pod trzecim Rzymem rozumiała się Moskwa), czwartemu nie być”. Od tego czasu stosunki rosyjsko-gruzińskie rozwijały się nieprzerwanie, jednak pierwszy swój konkretny wyraz znalazły dopiero za panowania Piotra Wielkiego. Piotr, przygotowując swą wyprawę na Persję, zawarł przymierze z królem gruzińskim Wachtangiem VI, na mocy którego zobowiązał się prowadzić wojnę wspólnie z Gruzją. Armia rosyjska rozpoczęła działania wojenne wzdłuż zachodniego brzegu Morza Kaspijskiego i posunęła się dość daleko na południe. W pewnym momencie Piotr przerywa działania wojenne, stawia odrębny pokój z Persją i bez skrępowań wydaje swego sprzymierzeńca na łup Persji. Cała armia perska zwraca się przeciwko Gruzji i niszczy kraj. Ten sam manewr, z tym samym skutkiem, powtórzył Piotr Wielki wobec Czarnogóry w czasie swej wyprawy przeciwko Turcji. Pomimo bolesnego doświadczenia czynniki polityczne Gruzji nie wyrzekły się nadziei, że musi się udać przy współpracy z Rosją okiełznać agresję południowych sąsiadów. Następny konkretny przykład rosyjsko-gruzińskiej współpracy miał miejsce za panowania Katarzyny, w czasie drugiej wyprawy krymskiej.

Kolejna reklamowa ideologia ekspansji Rosji nosiła wówczas nazwę „wschodniego akordu”. Miała ona służyć rzekomo wyłącznie idei ośwobodzenia chrześcijańskich narodów od panowania Turcji. Rozpoczynając wyprawę krymską, Katarzyna zwróciła się do Gruzji i narodów bałkańskich z propozycją wspólnej wojny. Z Bałkan odezwiała się tylko Grecja. Król Gruzji Irakli II wspólnie z Rosją wypowiedział wojnę Turcji. Chodziło mu o zwrot prowincji gruzińskich, znajdujących się wówczas pod panowaniem Turcji. Do Gruzji przybyła mała armia rosyjska pod dowództwem generała Todtlebena. Zjednoczona armia gruzińska — rosyjska ruszyła ku granicom Turcji i spotkała się w rejonie Achłecyha. Tu w wigilię bitwy armia rosyjska opuściła obóz gruziński i ruszyła na północ. Król długo prosił dowódcę armii rosyjskiej, żeby nie opuszczał pola bitwy. Zgadzał się nawet podporządkować mu gruzińską armię. Prosił, żeby rosyjska armia nie biorąc udziału w walce pozostała choć w rejonie bitwy. Nic nie pomogło. Gen. Todtleben tłumaczył się otrzymaniem specjalnej instrukcji i położeniem na europejskim teatrze działań.

Król Irakli, ówczesna militarna sława całego Wschodu, nie cofnął się przed walką. Na drugi dzień rozegrała się bitwa osamotnionej armii gruzińskiej. Skończyła się ona kompletnym zniszczeniem armii tureckiej. Mówiąc mimochodem, był to pierwszy wypadek użycia przez Turcję na teatrze kaukaskim po europejsku wyszkolonej armii. Tymczasem wracająca armia rosyjska szczyła popłoch w całej Gruzji i z trudem udało się zmusić ją do opuszczenia granic Gruzji. Wyjaśniła się wkrótce i treść instrukcji, na którą powoływał się dowódca rosyjskiej armii. Nakazywała ona, żeby oddziały rosyjskie w żadnym wypadku nie wspierały armii gruzińskiej, a po nieuniknionej katastrofie, wywozły króla do Rosji, opanowując resztę kraju. Zamiar ten narazie nie dał się zrealizować. W pokoju, zawartym po wyprawie krymskiej, Rosja ani słowem nie wspomniała o swych sprzymierzeńcach, wydając Turkom na łup Gruzję i Grecję.

W tym okresie naród gruziński dążył do konsolidacji za wszelką cenę. Między wszystkimi panującymi Gruzji został zawarty układ jednoczący kraj pod zwierzchnictwem króla Kachetji Irakli'ego II. Król wysyła misję polityczną do wszystkich dworów Europy Zachodniej celem pozyskania sprzymierzeńców przeciwko agresywnym sąsiadom z południa. Tu się zakrzętała dyplomacja rosyjska. Robiła ona wszystko przy każdym dworze europejskim, żeby w żadnym wypadku nie dopuścić do politycznego porozumienia Gruzji z zachodnimi państwami. W tych warunkach starania o pozyskanie sprzymierzeńców na Zachodzie skończyły się niepowodzeniem. Ostatecznie Gruzja była zmuszona do ponownego zwrócenia się do Rosji. Król Irakli II zgodził się za cenę wojskowej pomocy Rosji

na zrzeczenie się prawa prowadzenia polityki zagranicznej. Mówiąc językiem obecnym, zgodził się na protektorat Rosji. Dopiero teraz zorientowały się Turcja i Persja i zrozumiały, czym im zagrażała nowa polityczna konstelacja na Kaukazie. Obiecywały Gruzji trwały pokój i wszelką pomoc za cenę zerwania stosunków z Rosją. Ostatecznie Persja oficjalnie zażądała od Gruzji zerwania wszelkich stosunków z Rosją. Gruzja, pewna pomocy Rosji, odpowiedziała kategoryczną odmową. Rozpoczęła się wojna. Silna armia perska wkroczyła do Gruzji i opanowała stolicę Tyflis, pałac i niszcząc ją doszczętnie. Rosja, zgodnie ze swą tradycją, nie przyszła z pomocą i niczym nie przeszkodziła Persom w zniszczeniu Gruzji. Owszem, swą pracą polityczną i zapewnieniami mocno przeszkadzała w organizacji oporu Gruzji.

Dopiero po wycofaniu się armii perskiej zjawiała się armia rosyjska, uważając, że Gruzja jest już dostatecznie zniszczona i dojrzała do ostatecznej likwidacji.

Po śmierci ostatniego króla Gruzji Georgia XII w roku 1801 nieoczekiwanie zaczęło działać dowództwo wojsk rosyjskich, stacjonowanych w Gruzji. Nie pozwoliło ono na wstąpienie na tron następcy tronu, został ogłoszony manifest cesarski o bezpośrednim przyłączeniu Gruzji do Rosji i przekształceniu jej w normalną rosyjską prowincję. Równocześnie został ogłoszony nakaz cesarski o przesiedleniu do Rosji całego domu panującego Gruzji. Następca tronu uciekł do Persji dla wszczęcia otwartej walki z Rosją. Królowa wdowa odmówiła zgody na wyjazd do Rosji i kiedy pałac królewski został otoczony rosyjskimi oddziałami i generał Łazrew chciał gwałtem wywieźć ją, królowa własnoręcznie zabiła go, za co została wywieziona do Rosji w trybie normalnego postępowania sądowego.

Bardzo ciekawy jest manifest rosyjski, wydany z okazji przyłączenia Gruzji. Jest to wzór cynizmu i perfidii, oraz klasyczny przykład żonglerstwa doniosłymi ideami dyplomacji rosyjskiej. „Nie dla korzyści, nie dla zwiększenia granic. Tylko słuchając prośb umęczonego narodu gruzińskiego, czyniąc dobrodziejstwo dla niego i dla jego przyszłego szczęścia, włączamy Gruzję do granic własnego państwa” — głosił ten dokument historyczny.

Na tym się skończyło zaufanie narodu gruzińskiego i chęć do współpracy z Rosją. Zresztą i inne narody Kaukazu nie zdradzały nigdy tej chęci. Rosja, jako rzekoma spakobierczyna Gruzji, wystąpiła z pretensjami do wszystkich sąsiadów Gruzji o prowincje, które kiedykolwiek podlegały Gruzinom.

Gruzja i cały Kaukaz stanęły do otwartej walki z Rosją, rozpoznając w niej największe niebezpieczeństwo, jakie kiedykolwiek groziło Kaukazowi.

Posiadając mocny bastion na południe od grzbietu kaukaskiego — Rosja przystąpiła do

systematycznego podboju Kaukazu, opanowując prowincję za prowincją. Po śmierci ostatniej głowy kościoła gruzińskiego, Katolikos Gruzji, władze rosyjskie nie pozwoliły na wybór nowego Katolikosa. Sprzeciwiających się rosyjskim zarządzeniom metropolitów gruzińskich aresztowano i skazano na śmierć. Kościół gruziński jednym reskrytem został podporządkowany synodowi cerkwi rosyjskiej. W ten sposób została zlikwidowana samodzielność kościoła gruzińskiego, istniejącego od IV wieku, którą umieli uszanować i nie naruszać za czasów swego panowania Arabowie, Mogolowie, Persowie i Turkowie.

Rozpoczął się zbrojny podbój Gruzji, a potem całego Kaukazu. Ani jedna prowincja gruzińska nie poddała się bez kilkakrotnego zbrojnego powstania. Ostateczny finał zbrojnego oporu Kaukazu znalazł swój wyraz w bohaterskiej walce górali kaukaskich pod dowództwem Szamila. Ani jednego progę nie przekroczyła stopa rosyjska bez boju.

Walkę Rosja ogłosiła za zakończoną w roku 1857. w dzień kapitulacji Szamila i opanowania jego ostatniego aulu — Ciniba.

Kaukaz został formalnie zdobyty, ale nie uległ i nigdy nie ulegnie. Rozpoczęło się „pokojowe” rządzenie Rosji. Z jednej strony otwierała ona perspektywę nieograniczonej kariery pewnym jednostkom, specjalnie w służbie wojskowej. Jednostki te najchętniej wykorzystywano przy rusyfikacji kraju. Z drugiej strony usilnie rusyfikowano i kolonizowano kraj elementem rosyjskim, niszcząc go ekonomicznie i moralnie. Ostatnia nieudana próba zbrojnego powstania miała miejsce w 1868 r. Od tego czasu niektóre elementy przerzuciły się na współpracę z elementami rewolucyjnymi Rosji. Inne czynniki polityczne stawiły bierny opór wszystkim poczynaniom Rosji na Kaukazie i skwapliwie wykorzystywały każdą okazję do zbrojnej rozgrywki. Zachowały się prowincje górskie, gdzie panowanie Rosji jak carskiej tak i czerwonej było i jest tylko nominalne. Prowincje te nigdy nie podporządkowały się Rosji (Swanetia, Chewsuretia). W każdej wojnie toczonej przez Rosję — oddziały kaukaskie tak czy inaczej zawsze odnajdywały sposobność czynnej walki z Rosją w szeregach jej przeciwników.

Kłeska poniesiona przez Rosję w pierwszej wojnie światowej oraz długotrwała wojna domowa w 1918-20 pozwoliła narodom kaukaskim uzyskać niepodległość. Obie walczące strony Rosji, jak armia ochotnicza gen. Denikina, tak i czerwona armia bolszewicka, były jednakowo wrogo usposobione do Kaukazu i jednakowo starały się powtórnie go podbić.

Drugi, już czerwony, podbój Kaukazu Rosja rozpoczęła w kolejności nakreślonej przez Piotra Wielkiego. Odwołując się do pokoju zawartego z Niemcami i Turcją w Brześciu Litewskim w roku 1917, Rosja obiecuje wówczas jeszcze mało znanemu Kemal Paszy



(późniejszemu Ataturkowi) pełne poparcie i zwrot ustąpionych w Brześciu prowincji, należących obecnie do republik kaukaskich, Karsa, Batumu i Ardagana. W ten sposób Rosja zyskała całkowitą przychylność Turcji w sprawie podboju Kaukazu.

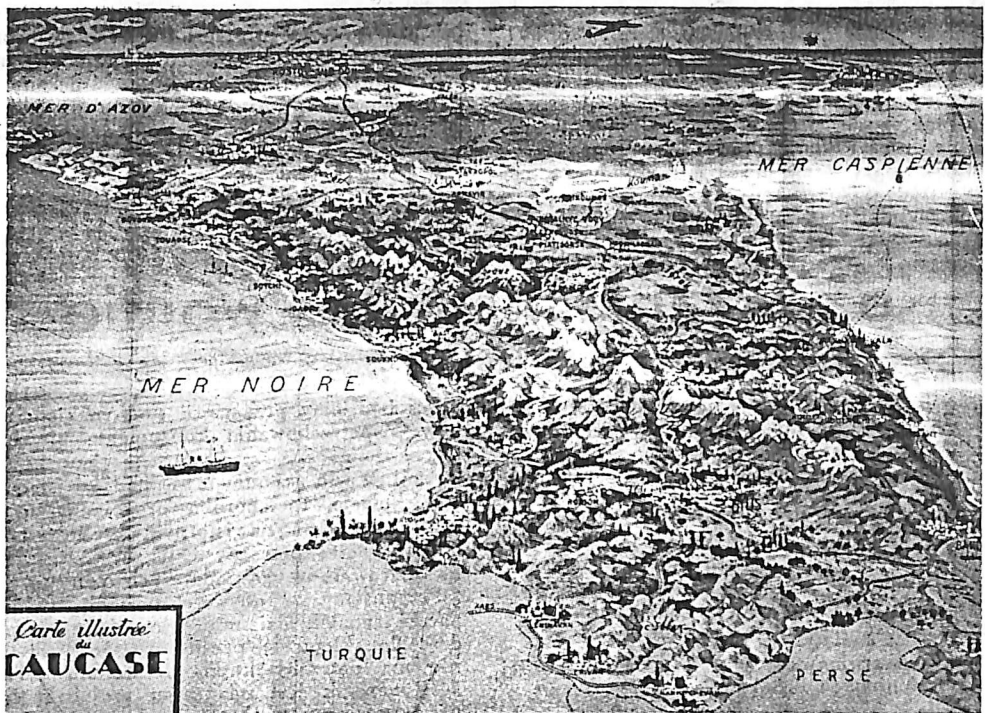
W maju 1920 r. rozgrywając w stolicy Azerbejdżanu—Baku komedię zamachu stanu, rosyjskie oddziały w pociągach wjeżdżają do Baku i ogłaszają, że wkroczyli na żądanie narodu azerbejdżańskiego. Odgrywając dalej tę samą komedię, oddziały rosyjskie doszły do granic gruzińskich i tu niespodziewanie dla siebie stwierdziły, że Gruzja stawia im zdecydowany opór. Rozpoczęła się wojna Gruzji z czerwoną Rosją. Za parę dni azerbejdżańska masa przemówiła dobitnie sama za siebie. Jeszcze nierozbrojona armia azerbejdżańska rozpoczęła zbrojne powstanie, do którego dołączyła się cała męska część ludności.

W tym czasie Rosja prowadziła ciężką wojnę z Polską i nie czuła się na siłach do prowadzenia otwartej walki z całym Kaukazem. Rosja zaproponowała Gruzji pokój i bez wszelkich sprzeciwów przyjęła żądania Gruzji, twierdząc, że działa tylko w myśl szlachetnej ideologii czerwonej Rosji. Rząd gruziński, złożony z elementów walki rewolucyjnej, zapatrzonej w teoretyczne ideały XIX wieku, chciał widzieć w Rosji nowy twór państwowy rzeczywiście rozpoczynający nową erę stosunków międzynarodowych. Chciał wierzyć w te ideały i dał się wziąć na lep starego rosyjskiego tricku dyplomatycznego. W maju 1920 r. został zawarty pokój z czerwoną Rosją. W listopadzie tegoż roku armia rosyjska bez wypowiedzenia wojny przekro-

czyła granicę republiki ormiańskiej i opanowała ją. 11 lutego 1921 r. od strony Armenii regularne oddziały rosyjskie przekroczyły granicę gruzińską...

Rozegrała się teraz charakterystyczna farsa. Na zapytanie gruzińskiego rządu, co to ma znaczyć — Moskwa odpowiedziała, że jej nie wiadomo, że prawdopodobnie jest to samodzielna akcja czerwonej ormiańskiej republiki i Moskwa jest gotowa służyć swym bezinteresownym pośrednictwem. W kilka dni później rosyjska regularna armia przekroczyła granicę Gruzji ze strony czerwonej azerbejdżańskiej republiki, która dotychczas niezmiennie zapewniała o swej bezinteresowności i neutralności w zatargu między Gruzją i czerwoną Armenią. Regularne oddziały czerwonej armii podeszły do samego Tyflisu — stolicy Gruzji. Rozpoczęły one akcję od północy, wzdłuż wschodniego brzegu Morza Czarnego i na wszystkich przełęczach gruzińskich. Do jednej z zajętych prowincji został przywieziony rząd, rzekomo gruziński, złożony z komunistów, aczkolwiek pochodzenia gruzińskiego, jednak od początku pracujących na gruncie rosyjskim i wysługujących się władzom moskiewskim. Moskwa jednak dalej twierdziła, że nie odpowiada za samodzielną akcję republik kaukaskich i dalej proponowała swe „bezinteresowne” pośrednictwo.

Gruzja zmuszona została do wypowiedzenia wojny Rosji. Sam przebieg jej jest dziś nieciekawym. Natomiast ciekawy jest końcowy epizod tej akcji. Kiedy już zwyciężona armia gruzińska odeszła za rzekę Rioni mając za sobą ostatni port gruziński Batum, w Batu-



mie już panowała armia turecka. Turcy z jednej strony zapewniali Gruzję o swej neutralności, z drugiej strony, w porozumieniu z Rosją, korzystając z koncentracji gruzińskiej armii na granicach rosyjskich, obsadzali opuszczone przez garnizony gruzińskie prowincje, przyznane im przez Rosję w pokoju Brzeskim. Na tej podstawie obsadzili i Batum. Do dowództwa gruzińskiego zjawiała się delegacja rosyjska z następującą propozycją: „Wiedcie, że wojna dla was jest przegrana i zakończona. W Batumie siedzą Turcy. My, wobec obowiązujących nas umów, nie możemy wszczynać akcji przeciwko nim. Dla was jest różnica, czy Gruzja będzie podzielona, czy Batum będzie z resztą macierzy. Wypędźcie Turków. My nie będziemy wam przeszkadzać”. Propozycja była rzeczowa i została przyjęta. Rozpoczęła się walka z Turcją. Tureckie dywizje zostały wyrzucone z Batumu przez ostatnie oddziały gruzińskie. Batum do dnia dzisiejszego jest w rękach Rosji...

Z opanowaniem Gruzji cały Kaukaz po raz drugi został podbity przez Rosję czerwoną. Były to jedyne posunięcia komunistów rosyjskich, które jednogłośnie i z radością zostały aprobowane przez białą emigrację i wszystkie organizacje polityczne rosyjskie, wszystkich odcieni i barw. Panowanie swe komuniści rozpoczęli ogłoszeniem deklaracji, która była dosłownym tłumaczeniem na obecny polityczny żargon starego cesarskiego manifestu z 1801 r. o przyłączeniu Gruzji. Wszystko to miało być zrobione tylko na życzenie i dla szczęścia narodu gruzińskiego.

Rozpoczął się dalszy normalny proces rusyfikacji Kaukazu, jego ekonomiczne niszczenie i podporządkowanie potrzebom Rosji oraz usilna kolonizacja. Carska Rosja robiła to otwarcie, demonstrując swe prawo zwycięzcy, zwalczała „tuziemców” (tubylców) i wszystko „tuziemcze”. Dziś akcja ta nazywa się inaczej. Każdy musi mówić językiem wielkiej rewolucji i językiem wielkiego komunistycznego świętego, Lenina: językiem rosyjskim. Podstawy ogniska domowego i tradycje muszą być rozbite, bo tego wymaga święte pismo komunizmu, a kaukasycy obywatele muszą ginąć tysiącami na brzegach Północnego Oceanu w imię „równości, braterstwa” i... panowania narodu rosyjskiego.

Kaukaz znowu został podbity, jednak znowu nie uległ i walki swej nie zaprzestał. I nie zaprzestanie. Podkreśliły to niejednokrotnie wszystkie narody kaukaskie w kolejnych swych powstaniach za czasów panowania czerwonej Rosji. Podkreśliły to wszystkie narody kaukaskie w wojnie światowej, stając licznie do zbrojnej rozgrywki z czerwoną Rosją.

Niejednemu politykowi, porwanemu współczesną deklamacją rosyjską o demokracji, sprawiedliwości i t. p. może się zdawać, że ma do czynienia z nowym, nie mającym precedensu w historii zjawiskiem. Niejednemu politykowi może się zdawać, że jest to okazja, którą trzeba podchwycić z miejsca, zaraz, za wszelką cenę i wykorzystać. Na pewno niejedyn wytrawny zawodowy polityk z obowiązku musi udawać, że wierzy, zgadza się i idzie za

sprawiedliwością i słuszością dążeń rosyjskich. Nie o nich tu idzie i nie dla nich jest to pisane.

Każdy naród walczący o swój byt ma zwarte szeregi swych synów, którzy walczą o proste, jasne, niezawikłane prawa swego narodu. Ci ludzie mają przywilej i obowiązek widzieć

rzeczy i sprawy bez przesłonek. Ludzie ci nie mogą pozwolić na zamglenie oczu słowami. Ich obowiązkiem jest na stare, niezmiennie tradycje Moskwy odpowiedzieć starą, niezmienną tradycją swych przodków: nieubłagana walka o prawa narodu.

W. Naliszwili

## Rozważania na „po wojnie”

Patrząc przyszłości prosto w oczy, nie ludząc się wiarą, że rozwiązanie problemów gospodarczych nastąpi w myśl recepty „jakoś to będzie”, musimy stwierdzić, że po wojnie będziemy narodem ubogim.

Bogactwo narodowe, to zasób bogactw mineralnych, stan pól uprawnych, ilość lasów, hodowla, ilość i jakość urządzeń przemysłowych, tabor kolejowy, szlaki komunikacyjne, stan budynków mieszkalnych, ilość ludności, ilość fachowców-specjalistów.

Wojna zrujnowała nasz dorobek w każdej z wymienionych dziedzin.

Musimy rozpocząć od nowa znużoną pracę zagospodarowania się na własnej ziemi, musimy rozpocząć systematycznie od podstaw, nie na wrywki, musimy mieć opracowany schemat z uwzględnieniem kolejności potrzeb i możliwości wykonawczych.

Dla zilustrowania dam przykład: chcąc zaopieć kryzysowi mieszkaniowemu, można by stworzyć ośrodek produkcji gotowych, składowanych domów na wzór opracowanego w Anglii projektu, ale jeśli jednocześnie nie zapewnimy sobie środków transportowych, to najlepszy i najtańszy model nie dojdzie do odbiorcy.

Ten plan odrodzenia gospodarczego musi być dobry i dla rolnictwa i dla przemysłu.

Nie możemy się łudzić, że potrafimy się obejść bez pożyczki z zewnątrz, będziemy musieli sprowadzić maszyny, nasiona, bydło rozplodowe, w pierwszym okresie — napewno żywność i odzież.

Handel jest handlem i mimo dobrego imienia, jakie mamy w świecie, nikt nam „na piękne oczy” pożyczki nie udzieli, dadzą, owszem, pod zabezpieczenie. Jako państwo mamy to zabezpieczenie: są to złoża mineralne, szlaki transportowe, ziemia. Nie chcę być źle zrozumianym, nie mamy zamiaru oddać tego w obce ręce dla eksploatacji; to tylko zabezpieczenie hipoteczne udzielonych nam pożyczek.

A więc pożyczki otrzyma państwo pod gwarancją własności społecznej. Cały naród jest zainteresowany użytkowaniem i zwrotem pożyczonej sumy.

Poważnym zagadnieniem będzie sposób rozdziału uzyskanych za granicą kredytów w for-

mie gotówki, bądź to w towarach. Pierwszy okres będziemy przeżywali pod znakiem braków. Zapotrzebowania konsumenta nie będą zaspokojone; stwarza to groźbę rozwoju spekulacji. Warto zastanowić się nad jej istotą.

Spekulacja, to choroba organizmu gospodarczego, oparta na istotnym braku artykułów pierwszej potrzeby i na braku zaufania do kierowników gospodarczych państwa.

Przypuśćmy, że obywatel potrzebuje jednej paczki zapalek dziennie i codziennie zachodząc do sklepu tę paczkę otrzyma, wówczas nie ma potrzeby kupna naraz stu paczek. Jeśli zapalek jest na rynku mniejsza ilość, niż wynosi zapotrzebowanie, każdy, z obawy, by właśnie jemu nie zabrakło, lub by przy następnym rozdziale go nie pominięto, będzie się starał wykupić największą ilość. Brak zaufania do kierowników gospodarki narodowej doprowadza również do wykupu jak największej ilości towaru w obawie, że jutro nie będą oni w stanie zaopatrzyć konsumenta. Zebranie w jednym ręku większego zapasu, przy ogólnym braku zapalek na rynku doprowadzi nieuczciwego posiadacza do wyzyskania swojej przewagi i sprzedaży po wyższej cenie.

Ze spekulacją nie sposób walczyć tylko środkami policyjnymi, widzieliśmy to na klasycznym przykładzie państwa policyjnego — Rosji, gdzie mimo strasznych kar za handel powyżej naznaczonej ceny państwowej, spekulacja jest bardziej rozwinięta, niż w jakimkolwiek innym państwie.

Środki przeciw spekulacji, to pełne nasylenie zapotrzebowań rynku; tego niestety w pierwszym okresie odbudowy uczynić nikt nie będzie w stanie.

Natomiast wysoki poziom uświadomienia obywatelskiego, zaufanie do kierowników resortów gospodarczych, udostępnienie wglądu szerockiemu ogółowi w system rozdzielczy, pozwala na zastosowanie systemu racjonowania, co powstrzyma spekulację.

Dwa podstawowe zagadnienia:

1) rozdział uzyskanych kredytów jak najszerszemu kręgowi obywateli dla uprzystępnienia bezpośredniego udziału w korzyści i ścisłego zainteresowania spłatą długu państwowego;

2) przekazywanie nabytych i wyprodukowanych artykułów pierwszej potrzeby bezpośrednio konsumentowi —

każą nam się zainteresować spółdzielniami. Wyliczmy z grubsza zasadnicze rodzaje spółdzielni: konsumcyjnej, użytkowej, wytwórczej, kasy kredytowej.

Spółdzielnia konsumcyjna to zrzeszenie odbiorców, którzy wspólnie zakupują z wytwórni towar i rozdzielają go między siebie po cenie kupna plus pewien odsetek na rzeczywiste koszty handlowe, jak podatek, transport, oparowanie, obsługa. Pozwala to uniknąć kosztów pośrednictwa a co najważniejsze, zapobiega skokom cen na skutek chwilowych braków rynku, które zawsze wystąpią w ogniu pośrednim. Konsumenci, zgrupowani przy jednym sklepie, stanowią niedużą stosunkowo grupę, wśród której proporcjonalny rozdział przydzielonych towarów jest rzeczą stosunkowo łatwą. Zależność kierownika sklepu od zrzeszenia ogółu członków danej spółdzielni nie pozwala mu nikogo faworyzować, stała kontrola komisji rewizyjnej powstrzymuje od nadużyć.

Spółdzielnie użytkowe, to bloki domów spółdzielczych, gdzie każdy lokator jest właścicielem swojego mieszkania, zainteresowanym w spłacie pożyczki uzyskanej na budowę wspólnego domu, to spółdzielnie dla użytkowania maszyn rolniczych i t. p.

Spółdzielnie wytwórcze, to warsztat pracy, fabryki, gdzie każdy pracownik jest i wykonawcą i właścicielem przedsiębiorstwa, otrzymuje normalną stawkę za wykonywaną funkcję, nadwyżkę natomiast—po odliczeniu spłaty kapitału, amortyzacji, odłożeniu kapitału rezerwowego i z reguły pewnego funduszu na cele kulturalno-oświatowe—rozdziela się proporcjonalnie między pracujących. Daje to, oprócz zwiększonego dochodu, świadomość pracy u siebie, dla siebie.

Spółdzielcze kasy kredytowe ułatwiają rozdział drobnych pożyczek w ramach ogólnopństwowego kredytu w różnych gałęziach gospodarczych, wykluczając lichwę.

Spółdzielczość polska ma piękną tradycję. Istniała u nas Państwowa Rada Spółdzielcza, będąca nadrzędnym organem kontroli wszystkich istniejących spółdzielni. Instytucje spółdzielcze korzystały ze specjalnych ulg podatkowych, kasowości i księgowości każdej spółdzielni była pod stałym węględem Związków Rewizyjnych specjalnie powołanych przez Państwową Radę Spółdzielczą.

Szczególnie rozwinięte były u nas spółdzielnie mieszkaniowe, konsumcyjne (piękny przykład: spółdzielnia „Społem”), spółdzielnie rolnicze jak np. Związek Spółdzielni Mleczarsko - Jajczarskich.

Sama idea spółdzielczości była w społeczeństwie głęboko wkorzeniona, o czym świadczy wielka ilość sklepików spółdzielczych na terenach zakładów przemysłowych, w wojsku, w szkołach, po wsiach i miasteczkach.

Organizacja spółdzielni wytwórczych rozpoczęła swoją działalność a ojcem ich był

kryzys gospodarczy, który wyrzucił poza mury fabryk tysiące bezrobotnych, każąc samym troszczyć się o swój los. Powstały wtedy spółdzielnie robotników ziemnych, murarskich, brukarzy, które to spółdzielnie przyjmowały robotę jako przedsiębiorstwa, przeważnie od Funduszu Pracy.

Oparcie przyszłego organizmu gospodarczego Polski w większości na spółdzielniach pozwoli na równomierniejsze rozdzielanie uzyskanych z zagranicy kredytów w społeczeństwie, ściślejsze zainteresowanie obywatela spłatą długu, gdyż przedsiębiorstwo, w którym jest bezpośrednim współwłaścicielem, pozbędzie się obciążenia procentami od pożyczonego kapitału. Wreszcie dzięki związkowi rewizyjnym w każdej gałęzi wytwórczości istnieje możliwość kontrolowania i planowania produkcji.

Kalkulacja cen towarów sprzedawanych przez spółdzielnie, czy wykonanych prac są skalkulowane na zasadach godziwych i ciągle kontrolowane przez związki rewizyjne, co eliminuje koniunkturalne skoki cen. A ukazanie się na rynku towaru produkowanego przez spółdzielnie zmusza prywatnych przedsiębiorców do przystosowania się do cen ustalonych przez spółdzielnię.

Przestawienie naszej wytwórczości i handlu na spółdzielczy głównie, w powojennej sytuacji będzie rzeczą łatwą, nie wymagającą żadnych radykalnych reform. Wystarczy pozostawić wydane do wojny u nas postanowienia dotyczące spółdzielni, z których najważniejsze powiada o ulgach podatkowych, a przy rozdziale kredytu czy w formie gotówki, surowców, czy maszyn, faworyzować organizacje spółdzielcze.

Program odbudowy kraju przez spółdzielnie winien opierać się na następujących podstawach.

#### A. Wieś.

1. Drobne spółdzielnie gmin wiejskich, dla wspólnego zakupu i użytkowania maszyn rolniczych, skupu bydła i nasion;

2. Spółdzielnie rejonowe przetwarzające produkty: młyny, mleczarnie, olejarnie i t. p., zaopatrzone w sklepy z artykułami pierwszej potrzeby;

3. Kasy pożyczek bez-, lub niskoprocentowych.

#### B. Miasto.

1. Spółdzielnie rzemieślnicze dla wspólnego zakupu surowców, narzędzi, sprzedaży wytworów;

2. Kasy pożyczek;

3. Spółdzielnie wytwórcze, w każdej gałęzi przemysłu;

4. Spółdzielnie mieszkaniowe;

5. Spółdzielcze sklepy artykułów pierwszej potrzeby.

S. Bertowicz

# Makkiaweliści

## jako obrońcy wolności i prawa

Autor „Managerial revolution” (Rewolucja zarządców) James Burnham wydał również drugą książkę pt. „Macchiavellians” (Makkiaweliści) w Londynie 1943 r. Wysiłek, jaki zadał sobie Burnham, w dążeniu do realistycznego spojrzenia na świat i obecną rzeczywistość w poprzedniej pracy, przychylnie usposabia do autora. Ze streszczenia w „Paradzie” (R.I, nr 3 1943 r.) „Rewolucji zarządców”, jak i z wywodów Barbary Ward o „Młodej Anglii” w „Orle Białym” (R. IV nr. 2-92), a zwłaszcza z artykułu Mieczysława Romana pt. „Społeczeństwo nowoczesne” („Orzeł Biały” R. IV, nr 10 (100), str. 4-5 — tezy pierwszej książki Burnhama nie powinny być czytelnikom obce.

Wystarczy przypomnieć, że autor głosi przede wszystkim, iż kapitalizmowi wymyka się z rąk władza w świecie, socjalizm nie jest zdolny pochwylić jej w ręce, lecz przechodzi ona powoli, ale nieuchronnie w ręce tych, których nazywa zarządcami, czyli w ręce wszelkiego rodzaju kierowników placówek dyspozycyjnych i wykonawczych, przedsiębiorstw i urzędów, wszelkiego rodzaju rzeczoznawców czy biegłych, którzy rządzą mają w imię ideałów produktywizmu i celowości działania. Taką autor stawia diagnozę procesów odbywających się współcześnie w świecie, a przez wojnę jeszcze bardziej przyspieszonych.

Jak się okazuje z drugiej książki, Burnham, jako naukowiec, badacz, profesor filozofii na uniwersytecie nowojorskim, nie chce być tylko praktykiem diagnostą. Nie ogranicza się do stwierdzania faktów, oraz do przewidywania przyszłości, ale stara się również ustalić prawa rządzące zjawiskami politycznymi i — mało tego — chce zająć czynne stanowisko wobec tych zjawisk.

Jak bowiem wskazuje na to podtytuł książki wstydliwie ukryty pod obwolutą okładki: „Makkiaweliści” to jednocześnie „Obrońcy wolności”. Z ich nauk i doświadczeń bowiem wysnuta ma być wiedza polityczna, jak zabezpieczyć się przed groźącym ze strony nowej klasy rządzącej niebezpieczeństwem dla wolności. Bo po ostatnich doświadczeniach z wszelkiego rodzaju ustrojami totalistycznymi obawa przed jakąkolwiek formą niewolnictwa stała się poststrachem świata nr 1.

Książka ta ukazała się w USA w kwietniu 1943 r., a już w październiku tegoż roku wydana została również w Anglii. Zdawałoby się, że potraktowano ją jak najbardziej pożądaną amunicję duchową i chyba tylko tyle czekała na swój transport do Anglii, ile

trzeba było na sformowanie jednego z najbliższych konwojów. Warto się z nią nieco bliżej zapoznać bez uprzedzeń, gdyż jest niewątpliwie jednym z bardziej znamienitych objawów myśli nurtujących świat anglosaski.

Na ten zbiór teoretycznych rozważań na temat polityki złożyły się wywody kilku autorytetów, przeważnie o wyrobionej sławie. Wykładni ich dokonano z pominięciem wszelkich względów dla tęsknot idealnych, żywionych zazwyczaj przez każdego człowieka rozpoczynającego bardziej aktywne życie polityczne. W swej niemal brutalnie cynicznej szczerości wyłożone myśli nabierają uwodzącej siły przekonywującej tzw. nagiej prawdy. Prawdy znanej dobrze wtajemniczonym praktykom, od której jednak większość odwraca się zwykle z jakimś wstydliwym zażenowaniem, w wygodnej dążności do niewidzenia tego, co przykre i wymaga reakcji w postaci konkretnego wysiłku.

Z pism Dantego (1265-1321), Macchiavellego (1469-1527), Gaetano Mosca (1858-1941), Sorela (1847-1922), Michelsa (1876-1936) i Pareto (1848-1923) autor wysnuwa coś w rodzaju praw politycznych. Poza Dantem, któremu się przeciwstawia i Macchiavellim, którego uważa za inicjatora właściwego kierunku w badaniu zjawisk politycznych, jest to grupa współczesnych socjologów i pisarzy politycznych włoskich, francuskich i niemieckich. W świetle ustalonych przez nich zasad przeanalizowane zostają problemy, które składają się na obecny kryzys światowy, na rewolucję dokonywującą się w życiu społecznym. Równocześnie autor wysnuwa wnioski co do znaczenia i widoków rozwoju ustrojów demokratycznych i zasad wolności.

Te zasady i pojęcia, które leżały już u podstaw rozważań Burnhama w jego poprzedniej książce pt. „Rewolucja zarządców” (Nowy Jork, 1941) obecnie autor nasz wyklada w szeregu rozdziałów poświęconych analizie spraw takich jak, co jest sensem polityki, na czym ona polega, jaka jest wiedza o istocie władzy, co to jest klasa rządząca, jaka jest rola mitu i gwałtu, jakie granice są dla demokracji ustrojów i na czym polega zasada przywództwa, jaka jest istota wszelkiej akcji społecznej i jak w świetle analizy tych spraw i pojęć podstawowych przedstawia się sytuacja obecna, tj. jaki jest stosunek głoszonych zasad politycznych do rzeczywistego stanu rzeczy.

O:o jak sam autor streszcza wyniki swych rozważań, wyliczając je w postaci listy najważniejszych zasad ustalonych przez Makkiaw-

welistów. Zasady te składają się na możliwie obiektywny pogląd na życie społeczne i na narzędzia służące do analizy spraw społecznych i politycznych zarówno w wypadku konkretnych badań jakiegokolwiek okresu przeszłości, jak i czasów współczesnych. Zdaniem naszego autora bowiem zasady te znajdowały się w formie mniej lub bardziej ukrytej już w samych pismach Mąccchiavellego i zostały tylko w pełni rozwinięte przez jego następców, przeważnie nam współczesnych jeszcze Makkiawelistów, którzy mieli tę przewagę nad swym mistrzem, że rozporządzali znacznie większym od niego zasobem faktów i doświadczeń historycznych. Zasad tych wylicza feralną liczbę — trzynaście:

1) Istnienie obiektywnej nauki o sprawach politycznych i społecznych jest możliwe. Nauka taka ma za zadanie opisywać i zestawiać fakty społeczne i na podstawie przeszłości stawiać mniej lub bardziej prawdopodobne hipotezy na przyszłość, zachowując przy tym neutralność wobec wszelkich celów praktycznej polityki i niezależność od jakichkolwiek celów moralno-etycznych lub ideałów. (Tezę tę głosi się wbrew twierdzeniom, że ze względu na specyficzne cechy „natury ludzkiej” nauka taka nie jest możliwa, lub jest zależna od praktycznych programów rozbicia lub naprawy istniejących ustrojów, lub też że musi być nauką „klasową” — jak chcą zwolennicy Marxa).

2) Pierwszym przedmiotem badań takiej wiedzy jest walka o władzę w swych różnych postaciach jawnych i ukrytych (a nie sprawa dobra powszechnego, ogólnego dobrobytu itp.).

3) Za podstawę badania praw życia politycznego nie może nabrać wszelkiego rodzaju (słownych) oświadczeń, lecz te oświadczenia muszą być rozważane w odniesieniu do całokształtu faktów społecznych, których dotyczy, w celu zrozumienia ich realnego politycznego i historycznego znaczenia.

4) Działania racjonalne, czy logiczne odgrywają w polityce i w zakresie przemian społecznych rolę pośrednią, gdyż ludzie rzadko w tym zakresie podejmują rozmyślnie kroki dla osiągnięcia w pełni świadomych celów. Można przyjąć, że z zasady działa się w tym zakresie nielogicznie, a to pod wpływem zmian w otoczeniu, instynktów, odruchów, interesu.

5) Najważniejszym dla zrozumienia stosunków społecznych jest podział na klasę rządzącą i rządzoną, elitę i doły. (Wbrew poglądom, że podział taki nie istnieje, jest nieważny, lub skazany na zanik).

6) Nauki historyczne i polityczne składają się przede wszystkim z badania elity, jej składu, układu stosunków (wewnątrz niej) i sposobu utrzymywania stosunków z dołami, (a nie badań mas, wielkich jednostek, lub urzędzeń i instytucji).

7) Głównym celem działania każdej elity, czy klasy rządzącej jest utrzymanie swej władzy i swych przywilejów, (a nie służba pu-

bliczna, jak to twierdzą rzecznicy elit, do których należy większość piszących w sprawach politycznych i społecznych).

8) Prawo elity opiera się na sile i przebiegłości, sile ukrytej tylko lub groźbie, (a nie na naturalnym lub boskim prawie, rozumie lub sprawiedliwości).

9) Społecznym układem politycznym, czy społecznym i jego podstawą jest formuła polityczna, związana z ogólnie przyjętym mitem, religią itp., (bynajmniej niekoniecznie prawdziwych).

10) Zależnie od tego, czy prawo elity zbiega się więcej lub mniej z interesem dołów, zachodzą różnice w układzie stosunków w masach, które wyrażają się nie w słowach, lecz:

a) w sile społeczeństwa i w jego stosunkach z innymi społeczeństwami,

b) w poziomie cywilizacji społeczeństw, czyli różnicami w wywołanych zainteresowań twórczych, i zdolności osiągnięcia wysokiego stopnia postępu materialnego i kulturalnego,

c) w wolności czyli bezpieczeństwie jednostek wobec samowoli władców lub nieodpowiedzialnego użycia przez nich władzy.

W elitach istnieją zawsze dwie tendencje:

a) arystokratyczna, dążąca do zachowania władzy dla swych członków i potomków i nie dopuszczenia do niej innych,

b) demokratyczna, dążąca do wprowadzenia z dołów nowych elementów do elity.

12) Z czasem przeważa zawsze tendencja demokratyczna, co sprawia, że żaden układ społeczny nie może być uważany za stały, trwa nieustanna walka, której wyrazem jest bieg historii, (wbrew przekonaniu o możliwości istnienia „społeczeństwa bezklasowego” i o możliwości zniesienia walki klas, któreby doprowadziło do zupełnego zamarcia życia społecznego).

13) Zachodzące co jakiś czas rewolucje są gwałtownymi przesunięciami dokonywanymi się w składzie elit i układzie stosunków panujących wewnątrz nich, (wbrew twierdzeniom o ich nieistnieniu lub możliwości usunięcia).

Zdaniem Burnhama to są główne zasady, odpowiadające instynktownym poglądom „praktyków” walki społecznej, a nie tylko teoretyków, którzy nie biorąc w niej udziału, zwykli sobie raczej wyobrażać upragnione przez siebie stosunki, a nie rzeczywistość. Na ich podstawie autor rozważa szereg zagadnień bieżącej polityki, których omówienie nie dałoby się już zmieścić w ramach tego artykułu.

Z tego krótkiego i zwięzłego streszczenia samych głównych też widać dość jasno, że jest to jednocześnie teorią profilaktyczną, zapobiegawczą i terapeutyczną, mającą leczyć istniejące zło. Ludzkość po dwóch wojnach i co najmniej trzech wielkich przewrotach społecznych ogarnięta jest swego rodzaju neurozą strachową, czy manią przesładowczą. Nie więc dziwnego, iż wielu ludzi ucieka od grozy rzeczywistości w sferę złud.

nych ideałów, lub daje mniej lub bardziej ryzykowny wyraz swej woli uczestniczenia w procesie opanowywania sytuacji. To też każda próba stanięcia oko w oko z zarysowującą się mechaniką zjawisk społecznych może przynieść tylko pewien pożytek. Pamiętać tylko należy, że ma się tu do czynienia jedynie z wykładem przybliżonym i uproszczonym.

Dając wiedzę o rzeczywistości, daje też skuteczne środki przeciwstawienia się groźnym niebezpieczeństwom i zapobiega katastrofom, do jakich zwykle prowadzić życie w świecie nierealnych złuk. Jest to więc realizacja postulatu tak energicznie wysuwanego przed dobrymi 20 laty przez innego pisarza anglosaskiego J. H. Robinsona, który głosił, że poprawę stosunków może przynieść ze sobą przede wszystkim dostateczne rozpowszechnienie istotnej wiedzy o stosunkach społecznych, dotychczas tak zafolanej w porównaniu do stanu rozwoju nauk przyrodniczych, które przyniosły taki rozkwit techniki.

Pierwszym warunkiem tego jest zagwarantowanie w życiu polityczno-społecznym pewnego zasobu wolności, a najskuteczniejszym sposobem wiodącym do tego celu jest, jak to krótko wyraża Burnham, istnienie opozycji, jako „jedynie skutecznej kontroli władzy rządzącej elity”. W tym też celu, dla zachowania

wolności, pisze autor, niezbędne jest istnienie w społeczeństwie „pewnej liczby względnie autonomicznych „sił społecznych”, zgodnie z postulatem Moski, „jak armia, „za-  
możne sfery, „kościół, „przemysł, „rol-  
nictwo, „wzrostwa, robotnicza, lub machina  
państwowa. Żadna grupa z osobna nie może  
sama zabezpieczyć wolności, zwłaszcza jeśli  
zdolna zmajoryzować inne, lecz tylko o ile jest  
ona w pewnej opozycji do istniejącej władzy  
i ma wystarczające oparcie w społeczeństwie,  
wówczas bowiem może stanowić skuteczną ta-  
mę dla wszystkich zakusów na wolność.

Stąd też wynika, że wszelkie ustroje totalitarne są wrogiem wolności. Rosja sowiecka — pisze m. in. autor — dowiodła, że skupienie całej gospodarki w rękach państwa wiodzie do zupełnego unicestwienia wszelkiej wolności. Zdaniem Burnhama też, los wolności zdecyduje nie wojna lub zmiany gospodarcze, ani jakaś rewolucja społeczna, lecz zależny on będzie od istnienia nierozstrzygniętych konfliktów między różnymi sekcjami elity światowej, opartych o „względnie niezależną grę sił społecznych, zabezpieczających dany układ społeczny od skostnienia. To też wydaje się być istotą ustroju demokratycznego.

On

## Gdańsk — Lwów

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

### Kłeska i kapitulacja

Z ciosu, zadanego przez armie anglosaskie nad Renem, Niemcy nie zdołały się już podnieść. Armij anglosaskich nie powstrzymała ani linia Wezery, ani pozostawione przez dowództwo niemieckie załogi otoczonych worków w rejonach nadbrzeżnych w Zagłębiu Ruhry, czy w górach Harzu. Ofenzywa na froncie włoskim, gdzie ostatnia decydująca bitwa — walka o Bolonię — dała jeszcze jeden najwyższej klasy sukces wojskowy z Konopusowi, zakończyła się pierwszym aktem masowej kapitulacji. Ta kapitulacja całego frontu oddała zachodnim aliantom, jak niektórzy obliczają, do 900.000 jeńców.

W ostatniej nocy przed bitwą o Niemcy zamieniła się w walkę rozgrywkę polityczną, wcale nie skończoną. Od zajęcia Berlina nie powstrzymały aliantów zachodnich rozbite i poddające się dywizje niemieckie. Można sprostować wiadomości o wycofaniu się wojsk amerykańskich z bezpośredniej bli-

skości Berlina na skutek wyraźnego żądania Stalina. Nie można jednak zaprzeczyć, że nad Łabą zatrzymały się wojska anglosaskie nie z powodów strategicznych, ale politycznych. Rządy brytyjski i amerykański zdecydowały bowiem dotrzymać postanowień teherańskich, przewidujących Łabę jako granicę okupacji anglosaskiej i sowieckiej.

Kierownictwo polityczne narodu niemieckiego uczyniło wszystko, by kapitulacja Niemiec stała się jak najbardziej wymownym aktem politycznym, dającym narodowi niemieckiemu maksimum korzyści i umożliwiającej mu w przyszłości nową polityczną grę. Pierwszym aktem był znany rozkaz Hitlera, nakazujący walkę do ostatniego tchu z bolszewikami dla powstrzymania „żydowsko-bolszewickich band” i ich ostatecznego wykrwawienia pod Berlinem. Prasa anglosaska powtórzyła oświadczenie byłego hitlerowskiego rządcy w Holandii, Musserta, że Hitler zdawał sobie sprawę z nieuniknionej klęski już od grudnia 1943 roku, a „je-

dyna jego nadzieją było, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone przylączą się do Niemiec w walce przeciwko bolszewizmowi”.

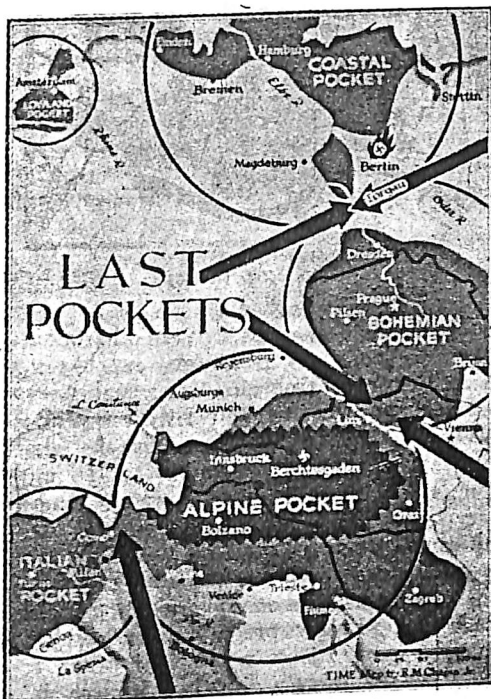
Rzecz jasna, że Hitler nie mógł być partnerem dla Anglosasów. Niemcy stworzyli jednak dokoła niego legendę jako o tym, który „zeszedł ze sceny w roli największego bohatera niemieckich dziejów”, który „walczył do ostatniego tchu przeciwko bolszewizmowi”, oraz, że z jego „walki przeciwko bolszewizmowi korzy-

Trzecia persona polityczna kapitulacji Niemiec — admirał Doenitz, ogłosił się następcą Hitlera, oświadczył, że zadaniem jego jest „ocalenie narodu niemieckiego przed zniszczeniem go przez bolszewików”. „Walkę naszą — zapowiadał Doenitz — kontynuować będziemy jedynie dla osiągnięcia tego celu. Przeciwno Brytyjczykom i Amerykanom będziemy również walczyć tak długo, dopóki przeszkadzają nam w osiągnięciu tego celu”. Doenitz wiedział już, że nie zdoła rozbić w ostatniej chwili obozu alianckiego i że nie uda mu się skapitulować tylko na rzecz Anglosasów. Oddał więc w ręce Anglosasów przynajmniej tyle elementów niemieckiej siły zbrojnej, ile to było możliwe. Oddał zatem w ręce Anglosasów flotę, na jego rozkaz kapitulują też najbardziej fanatyczni dowódcy łodzi podwodnych, odprowadzając swoje okręty do portów anglosaskich. Przed Montgomerym skapitulowały siły niemieckie w Holandii, Szlezwigu, Danii.

Ostateczny akt kapitulacji został podpisany dwukrotnie: w Reims, gdzie szef niemieckiego generalnego sztabu podpisał akt kapitulacji przed szefem sztabu Eisenhowera, i po raz drugi w Berlinie, gdzie marszałek Keitel kapitulował przed marszałkiem Żukowem, jako pierwszą osobą.

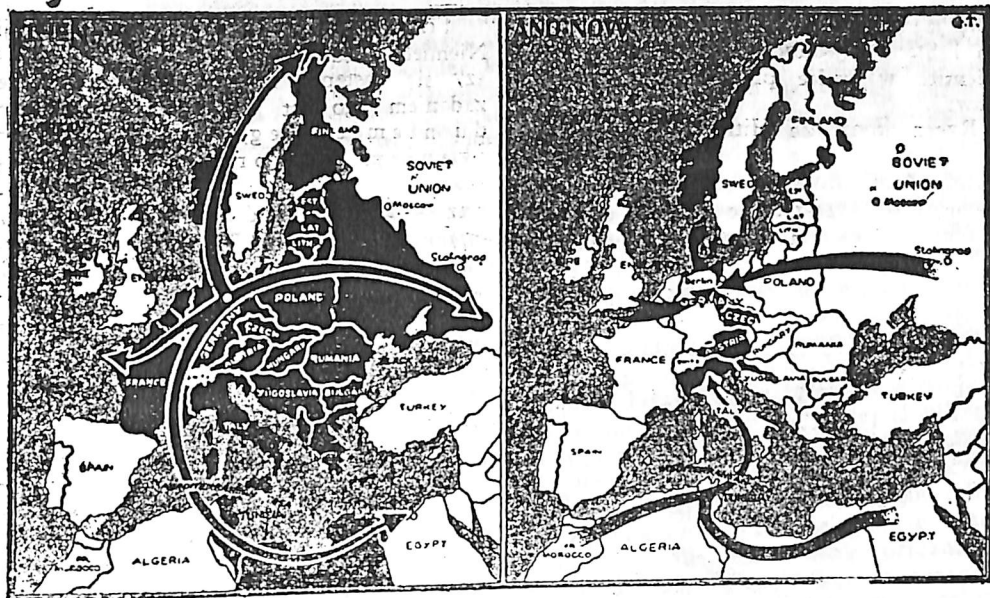
Wszyscy, którzy byli w Niemczech aktywni i politycznie ważni usiłowali w miarę możliwości w ostatnich dniach przed kapitulacją znaleźć schronienie u Anglosasów na zachodnim brzegu Łaby. Sprawiedliwie ukarany Herrenvolk musiał doraszać się, by mu udzielono schronienia przed jego własnym, z roku 1939 sprzymierzeńcem.

Lecz nawet po kapitulacji, niemieckie siły zbrojne, które miały jakąkolwiek szansę przedostania się na tron Anglosasów, walczyły, a w Czechosłowacji wciąż niemieckie pod dowództwem marszałka Ferdynanda von Schoennera wołały ginąć niż kapitulować przed bolszewikami. Tak zatem zupełną klęską i upokorzeniem skończył się niemiecki sen o potęgze i ich zdrada Zachodu. Przypieczątowany został los dwóch spośród trzech europejskich dyktatorów. Zjednoczone narody oświadczeniami przewódców i raczej skromnymi uroczystościami obchodziły „dzień zwycięstwa” nad Niemcami, aby natychmiast stanąć w obliczu dalszej konieczności prowadzenia wojny z Japonią i wobec najbardziej skomplikowanych problemów politycznych. Te zaś narody, których tery-



Ostatnie worki niemieckie przed kapitulacją: holenderski, pomorski, czeski, alpejsko-bawarski i włoski.

stała nie tylko Europa, ale i cały świat”. Z propozycjami pokojowymi, przekazywanymi za pośrednictwem hr. Bernadotte, wyszedł na scenę Himmler, władca Gestapo i Niemiec. Proponował on kapitulację, ale tylko na rzecz mocarstw zachodnich. Lecz i szef Gestapo nie mógł być partnerem dla mocarstw anglosaskich. Prawdopodobnie przez ofertę kapitulacji dał jednak Anglosasom jeszcze jedną okazję do wykazania, że dotrzymują swoich zobowiązań wobec ZSRR, oraz do wielkiej demonstracji politycznej przed opinią własną i całego świata, że Anglosasi są lojalni w stosunku do bolszewickiego alianta.



*Imperium hitlerowskie u szczytu podbojów i przed kapitulacją*

toria państwowe pokryła okupacja sowiecka, stanęły w obliczu nieubłaganej konieczności prowadzenia natychmiastowej walki o własną narodową i indywidualną egzystencję.

Ostatni akt wojny z Niemcami miał pod jednym względem olbrzymie znaczenie moralne. Oto przed oczyma nie tylko delegowanych komisji międzynarodowych, ale tysięcy alianckich żołnierzy stanęła w całej swej nagości prawda o niemieckiej katowni narodów. Odstoniły się niemieckie komory gazowe, groby masowe, miejsca cierpień i kaźni w Buchenwald i setkach obozów koncentracyjnych, w obozach jenieckich i t.p. Żołnierz anglosaski mógł się naocznie przekonać, że bił się o sprawę słuszną i sprawiedliwą. Żołnierz ten zobaczył ogrom zbrodni, jaki niesie z sobą kaźń dy totalizm od komunistycznego pierwowzoru aż do wszystkich faszystowskich naśladownictw łącznie. Dla żołnierzy polskich wytworzyła się możliwość mówienia z każdym żołnierzem alianckim, który widział Buchenwald — tym samym językiem. Powiedzieć więc może swojemu alianckiemu towarzyszowi broni: „Teraz wiesz już, że nie biłeś się o Gdańsk, tylko o wolność i o człowieka. Na początku tej wojny wmawiano ci, że z powodu wojowniczych Polaków musisz rzucić swój dom i bić się o ten Gdańsk, który cię nic nie obchodzi. Widziałeś teraz Buchenwald, ale nie widziałeś Kałymy ani Ziemi Franciszka Józefa. Gdy-

byś zobaczył te miejsca kaźni narodów, wszystko jedno czy polskiego, czy ukraińskiego, czy kazachskiego, czy gruzińskiego — wiedziałbyś, że to nie o Lwów i Wilno, ale znowu o wolność i o człowieka idzie sprawa. Jeżeli chcesz uratować twój i mój dom, twoją i moją wolność, twoje i moje przyszłe istnienie, musisz mi uwierzyć dziś tak samo, jak uwierzyłeś mi w roku 1939. A jeżeli chcesz wiedzieć, kto idzie ze wschodu, zapytaj swoich amerykańskich i angielskich braci, którzy przeszli przez rosyjskie stacje etapowe, jako wyzwoleni przez armię sowiecką jeńcy z obozów niemieckich”. Brytyjski minister stanu Richard Law powiedział o tym w Izbie Gmin dnia 11 maja br.: „Głównym powodem do skarg jest brak udogodnień ze strony władz sowieckich, aby oficerowie brytyjscy mogli odwiedzać brytyjskich żołnierzy na stacjach zbiorczych, szpitalach i zapoznać się ze sposobami zbierania tych jeńców. Wielka Brytania wystąpiła wobec Rosji w sprawie rabunków dokonywanych na brytyjskich jeńcach wojennych przez odbieranie im ich prywatnej własności”.

### **Pokój zbrojny i fakty dokonane**

Wojna trwająca z Japonią wyklucza rozbrojenie na szerszą skalę. Ogłoszono wprawdzie pierwsze postanowienia o zwalnianiu z szeregów tych, którzy najdłużej służą w wojsku, chorych i rannych. Armia amerykańska przewiduje zwolnienie

1,300,000 ludzi w ciągu jednego roku. Stany Zjednoczone zatrzymują jednak pod bronią 7 milionów żołnierzy; Wielka Brytania zamierza wymienić starsze roczniki na młodsze; Francja przygotowuje się do wysłania większych sił zbrojnych na Daleki Wschód. Nie ma też wcale zamiaru demobilizować Rosja Sowiecka. Dla czerwonej armii p. Mołotów znalazł już zadanie. Jest nim czuwanie tak długo „póki siły faszyzmu nie będą wytępione”. Według Reutera Mołotów miał zapewnić w San Francisco, że „armia czerwona jest przygotowana na wszelką ewentualność, szczególnie zaś na zagrożenie granic sowieckich na wchodzie”. Na razie według tegoż Mołotowa, „armia sowiecka przez pewien czas zajata będzie zaprowadzaniem porządku w krajach przez nią okupowanych”.

Niezależnie od czterdziestu szklanek wódki wypitych przez Żukowa w Berlinie na cześć „jednego z największych generałów wszystkich czasów i jednego z najwybitniejszych synów narodu amerykańskiego” — Eisenhowera, niezależnie od salw z tysiąca dział przy ostatnich akcjach okupacji wojskowej Niemiec, nagromadziła się już spora ilość o wiele bardziej wrzuszających dowodów przyjaźni i głębokiego porozumienia pomiędzy zachodnimi i wschodnimi aliantami. Oto Triest zajęły zarówno wojska nowozelandzkie, jak i oddziały Tita. Oto na duńskiej wyspie Bornholm nie wiadomo po co lądowały wojska sowieckie. Oto w Wiedniu, w momencie zbliżania się wojsk amerykańskich do granicy austriackiej, utworzono „austriacki rząd tymczasowy”, z trzema komunistami na początek i 74-letnim Karolem Rennerem jako premierem. Komunistyczne tło, jak pisze „Time”, przybyłe z Moskwy, poza ogólną sowiecką opieką, zajmie się sprawami wewnętrznymi, wychowania i religii. Komentatorzy sowieccy w związku z tym austriackim rządem tymczasowym powołali się na Teheran, gdzie przewidywano „utworzenie wolnej i niepodległej Austrii”, mówiąc jednak o porozumieniu w Teheranie Wielkiej Trójki, „przewidyującym dla administracji Austrii komisję amerykańsko-brytyjsko-rosyjską”. Zarówno Waszyngton i Londyn oświadczyły, że „nie będą uznawać nowego rządu austriackiego”.

Po kapitulacji Niemiec, świat zadaje sobie pytanie: Co będzie z Niemcami? Czy wspólnie i zgodnie rządzić tam będzie komisja aliancka z Berlina w strefach oku-

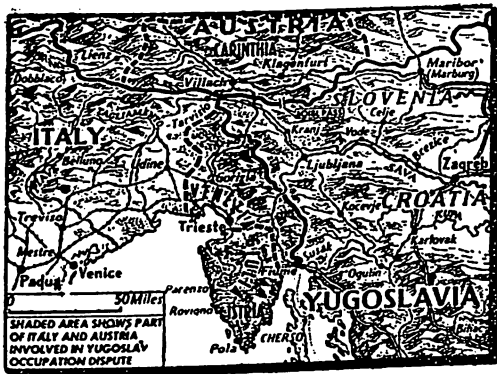
pacyjnych ściśle wyznaczonych? Jak długo? I co będzie po zakończeniu okupacji? — Prasa brytyjska i amerykańska doniosła, że garnizony — brytyjski i amerykański — przeznaczone na postój w Berlinie, są gotowe, a dzienniki wyrażają pewność, że do Berlina pojedzie większa grupa dziennikarzy anglosaskich. Być może, że w Berlinie będzie przygotowana cieplarnia dla zagranicznych korespondentów na wzór moskiewski, ale na razie usunięto ostatnich anglosaskich dziennikarzy z Węgier i Rumunii.

Brak ostatecznego rozstrzygnięcia losu Niemiec, podział na dwie okupacje — daje już dziś Niemcom korzyści, których bezskutecznie pragnęlibyśmy w tej chwili dla naszego narodu. Już bowiem oświadczone oficjalnie w Waszyngtonie, że „Niemcy na terenach okupowanych przez Anglię i Stany Zjednoczone otrzymają poważną część z 12 milionów ton żywności przeznaczonej dla Europy na najbliższe 12 miesięcy”, choć równocześnie pod naciskiem opinii publicznej zapowiada się ostrą okupację. Sowieckie oświadczenia również aż nadto często zapewniają, że „naród niemiecki nie jest zasadniczo zły” i z chwilą „gdy usunięto faszyzm, Niemcy mogą stać się normalnym przyzwoitym narodem”.

Próbą faktu dokonanego, która przez czas pewien najbardziej zajmowała umysły opinii publicznej, była niezawodnie nieskończona zresztą sprawa okupacji przez oddziały Tita Triestu i całej Venezia Giulia, jak również austriackich terenów Styrii i Karyntii.

Nie znamy treści licznych not wymienionych pomiędzy Tito i jego moskiewskimi pełnomocnikami z jednej strony, a marszałkiem Aleksandrem i rządami anglosaskimi z drugiej. Wypowiedzi radiowe Tita i jego rzeczników były buńczuczne, marszałek Aleksander nie zawahał się sięgnąć do zasadniczego stwierdzenia, że metody Tita przypominają metody Hitlera i Mussoliniego. Tito wycofał swe wojska z terenów austriackich. Nie mniej nadal utrzymuje je w Triście a nawet wydaje tam rozporządzenia i stosuje terror. W odpowiedzi wojska brytyjskie i amerykańskie, unikając starcia zbrojnego, z zasadniczym hasłem „pokojowego marszu”, ruszyły ku granicy jugosłowiańskiej, przedwojennej. Korespondenci donosili o marszu anglosaskim przez „pagórki” z pozostawianiem oddziałów Tita, uzbrojonych zresztą w amerykańskie czołgi w okupowanych przez nich miastach i

większych osiedlaoh. Do starcia zbrojnego nie doszło. Moskwa widocznie nie zdecydowała, by nadszedł już czas do zbrojnego przeciwstawienia się wojsk „niepodległej” Jugosławii oddziałom ósmej armii. Tito oświadczył, że „sprawa ta na pewno znajdzie swe rozwiązanie. Dojdziemy do jakiegoś porozumienia z naszymi aliantami. Lecz praw naszych bronić będziemy twardo”.



Venezja Giulia: zakreskowany — teren sporny.

Narazie Triest pozostał ogniskiem sporu nierozstrzygniętego. W konflikcie wytworzonym przez titowski fakt dokonany nie można oczywiście ani na chwilę zapominać, że nie chodzi tu o obronę praw narodu słoweńskiego zamieszkującego Istrię czy Gorycję. Linia podziału biegnie gdzie indziej. Tito powołuje się na włoskich komunistów pragnących wcielenia Triestu do „wolnej” Jugosławii, a każdy świadom sowieckiego niebezpieczeństwa Słoweniec pragnie wyrzucenia wojsk i terroru Tita z Triestu nie dlatego, by pragnął wcielenia Triestu do Włoch, lecz dlatego, że pragnie, by poza zasięgiem NKWD znalazła się choć część słoweńskiego narodu, którego masy wielotysięczne wędrują dziś na południe unosząc ze sobą ułamek narodowej siły jeszcze jednego narodu Międzymorza, wydanego na sowiecką okupację. Linia podziału przeszła już przez środek piciściególnych narodów.

### Dyplomatyczne usztywnienie

Oficjalne komunikaty doniosły, że powikłane problemy, które wynikły z kapitulacji Niemiec, zmusiły najpoważniejszych delegatów z p. Mołotowem na czele do opuszczenia San Francisco. Ale w San Francisco bez kapitulacji Niemiec nagromadziło się aż nadto wiele różnych spraw.

Póraz pierwszy też w tej wojnie zdobyły się państwa zachodnie na postawę godniejszą i bardziej samodzielnie wobec żądań moskiewskich. Wprawdzie p. Mołotow zdołał przeprowadzić swoje stanowisko w sprawie przewodniczącego, tak że wbrew międzynarodowym zwyczajom, jest nim na przemian któryś z szefów delegacji Wielkiej Czwórki, nie zaś gospodarz — Stettinius. Mołotow również sprzeciwił się stanowczo wprowadzeniu Argentyny jako uczestnika konferencji. W tej sprawie ponosił porażkę, gdyż opowiedziało się za nim tylko trzech delegatów (przedstawiciele jugosłowiańskiego Subaszića, „rządu” czeskiego i... greckiego). Jawnie przeciwko Mołotowowi głosowało 31 delegatów. Podczas awantury połączonej z wyjściem Mołotowa z sali, dziennikarze usłyszeli głos lorda Halifaxa, jednego z członków brytyjskiej delegacji: „Nie sądzę, by to już nadszedł koniec świata”.

Koniec świata nie nadszedł również po drugiej porażce Mołotowa, kiedy 43 delegatów odrzuciło jego propozycję zaproszenia na konferencję, na symbolicznie puste miejsce Polski — przedstawiciela moskiewskiej agentury urzędującej w Warszawie. Na krótko rozeszły się pogłoski o osiągnięciu porozumienia w sprawie Polski przez Wielką Trójkę na podstawie jakichś „rozszerzonych propozycji Stalina”. Pogłoski wymieniały znowu naszych niefortunnych kandydatów na wyjazd do Moskwy, uznających zasady dyktatu krymskiego, oczywiście z p. Mirkołajczykiem na czele. Pogłoski nie potwierdziły się, natomiast ukazało się oświadczenie brytyjskie i amerykańskie w odpowiedzi na ujawnienie Mołotowa, że 16 polskich przewodców znajduje się w sowieckim więzieniu. „Brytyjski minister spraw zagranicznych — brzmi oświadczenie — doniósł rządowi Jego Królewskiej Mości o tym najbardziej poważnym rozwoju wypadków i poinformował p. Mołotowa, że na razie rząd brytyjski nie może kontynuować rozmów w sprawach polskich. W godzinach późniejszych p. Stettinius również zażądał od Rosji wyczerpujących wyjaśnień w sprawie aresztowanych polskich przewodców i oświadczył, że dalsze rozmowy dotyczące zagadnienia polskiego muszą być odłożone do czasu otrzymania tej odpowiedzi”.

Moskwa oskarżyła oczywiście aresztowanych polskich przewodców o działalność dywersyjną, o spowodowanie śmierci stu oficerów i szeregowych armii czerwonej.

Pojawiła się natomiast odpowiedź Stalina, która stwierdza, iż mikt nigdy ze strony sowieckiej nie miał zamiaru prowadzić rozmów politycznych z aresztowanymi Polakami, oczywiście oskarża się aresztowanych Polaków o sabotaż na tyłach armii sowieckiej.

Sprawa polska utknęła na martwym punkcie. Z doniesień agencji prasowych możemy sądzić, że aby uzyskać załatwienie sprawy polskiej w duchu swych żądań, to znaczy wcielenia całej Polski do ZSRR, rząd sowiecki wykorzystał już wszystkie możliwości szantażu, łącząc sprawę polską z udziałem ZSRR w wojnie przeciwko Japonii, oraz z groźbą „zainteresowania się Indiami, o ile polityka brytyjska nie przestanie się interesować sprawą polską”. Z tych wielorakich możliwości szantażu jedna — porozumienie z Niemcami — odpadła.

Ostrożny angielski „Economist” w numerze z 11 maja podsumował brytyjską ocenę, jak następuje: „Po czterech latach

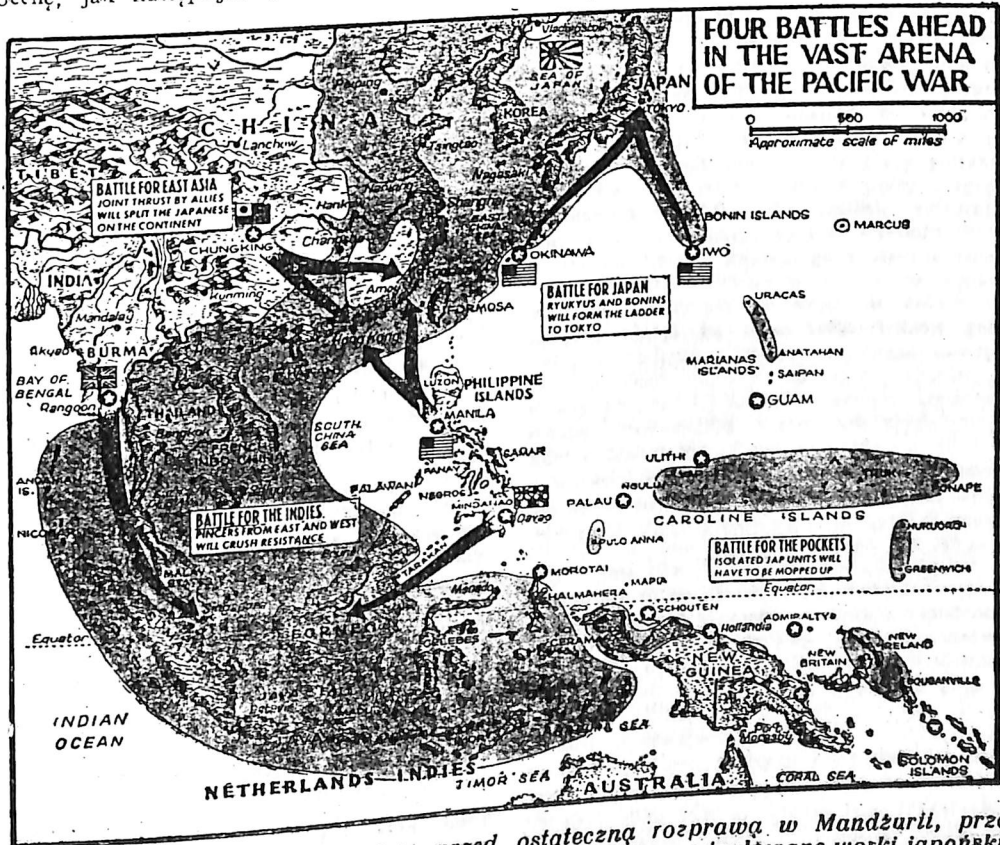
sprawa Polski pozostaje na martwym punkcie. W Austrii są trudności, a ponadto istnieje cały szereg innych rzeczności pomiędzy Rosją i Wielką Brytanią. W Brytanii poczyniła wiele ustępstw aby pozyskać współpracę Rosji Sowieckiej, lecz dotąd nie ma żadnych oznak, któreby świadczyły o idealnej współpracy. Nic dziwnego, że polityka W. Brytanii ulega rewizji”.

### Wojna czy pokój na Dalekim Wschodzie

Równocześnie zmniejsza się dość poważnie możliwość dalszego szantażowania udziałem Sowieców w wojnie na Dalekim Wschodzie.

Wojna na Dalekim Wschodzie, szczególnie na skalistej wyspie Okinawa, toczy się zresztą z niebywałą zaciekłością. Jasne jest dla każdego, że teraz możliwości przetrzucenia znacznych sił, przede wszystkim floty z Europy, na Pacyfik, zwiększyły się niepomniernie.

Pojawiła się ponadto jeszcze jedna możliwość, poważnie traktowana przez prasę



W walkach na Dalekim Wschodzie, przed ostateczną rozprawą w Mandżurii, przewiduje się cztery zasadnicze kampanie: o Indie, o Chiny, o izolowane worki japońskie na wyspach Pacyfiku, o archipelag japoński.

anglosaską — jeśli nie zakończenia konfliktu na Dalekim Wschodzie, to co najmniej zupełnego odparowania szantażu sowieckiego. Jest to możliwość kapitulacji, względnie dojścia do jakiegoś układu pokojowego z Japonią. Po śmierci Roosevelta japoński premier uważał za stosowne wyrazić swoje współczucie narodowi amerykańskiemu. Prezydent Truman natomiast uważał za stosowne wyjaśnić, co rozumie jako bezwarunkową kapitulację Japonii: „Oznacza ona ograniczenie wpływów japońskich przewódców wojskowych, którzy zaprowadzili Japonię na brzeg przepaści... Nie oznacza to eksterminacji i odebrania wolności narodowi japońskiemu”. Wreszcie admirał Wiliam Halsey uznał za właściwe podzielić się z kapelanami amerykańskimi opinią, że w najbliższym czasie należy się spodziewać wystąpienia Japonii z propozycjami pokojowymi.

### Walka trwa

Zmniejszają się możliwości militarnego szantażu ze strony Moskwy. Lecz już uruchomiono następną płaszczyznę: w północnych Włoszech tłum nie tylko zjechał się nad trupem Mussoliniego, lecz z rąk tłumu bez sądów padły tysiące ludzi, obywatelne — winnych czy niewinnych, aby metodzie „dyktatury proletariatu” torować drogę przez Włochy. We Francji komuniści zdobyli 23% głosów w ostatnich wyborach. Nawet w Grecji znowu próbowano odezwać się ulica.

Widać już wyraźnie i trzecią płaszczyznę moskiewskiej gry: rezerwowanie sobie na wszelki wypadek „kompromisu” — pozornych ustępstw po przedstawieniu maksymalnych żądań. W tej grze mieści się właśnie maksimum politycznego zakłamania i zwodzenia opinii publicznej. Mołotow przed wzięciem z San Francisco mógł więc zapewnić, że według jego przekonania konferencja zakończy się pełnym sukcesem, a „sprawa polska zostanie rozwiązana w sposób zadawalający i pomyślny dla Polaków”. W Polsce przygotowuje się nową komedię wyborczą przy akompaniamencie salw egzekucyjnych i bombardowaniu lasów Lubartowskich, gdzie według Moskwy ukryli się polscy niepodległościowcy. Nie jest też wykluczone w tej chwili danie przez Moskwę jakichś pozorów swobód, pozorów skutecznej

interwencji anglosaskiej w sprawie polskiej. Takie chwilowe cofnięcie się Moskwy na linię Czuczona mogłaby opinia świata przyjąć z ulgą jako pozorne zwycięstwo słusznej sprawy.

Słyszano się też wiele o przygotowywaniu nowej konferencji Wielkiej Trójki, na której miałyby się raz jeszcze podjąć próbę złagodzenia narosłych różnic.

Jasna i jedna jest polska droga w tej chwili, gdy pierwszy nasz wróg, ten, który pod pozorem autostrady i Gdańska sięgnął po naszą niepodległość, leży złamany i powalony. Polska jest znowu probiehem sprawiedliwości i prawa na świecie. Walka trwa.

W walce tej do naszych szeregów na wolnej, choć obcej ziemi ostatnie tygodnie oddały nam rzesze naszych rodaków wywiezionych i więzionych w obozach — w Niemczech. Ilu ich jest, jeszcze nie wiemy. Wśród nich są i ci, którzy przeszli przez doświadczenia takie, jak my. Na ich czele Wódz bohaterkiej Warszawy, — Bór-Komorowski, Dowódca Armii Krajowej.

### Na pograniczu wojny i pokoju

Wymiana mało uprzejmych, jak na angielskie zwyczaje, listów i oświadczeń pomiędzy przewodcami Labour Party i premierem Churchillem poprzedziła dymisję Churchilla. Warunki Churchilla — utrzymać koalicję do zwycięstwa nad Japonią lub natychmiastowe wybory już w lipcu — zostały przez partię pracy potraktowane jako ultimatum. Partia pracy pragnęła odroczenia wyborów do jesieni, zarzucając Churchillowi, że chce szybkich wyborów, by w cieniu zwycięstwa związanego z jego imieniem osiągnąć sukces wyborczy dla partii konserwatywnej. Churchill ze swych warunków nie ustąpił, złożył na ręce króla dymisję gabinetu, a obdarzony misją utworzenia nowego, tymczasowego, gabinetu do czasu wyborów, utworzy go prawdopodobnie z samych konserwatystów wprowadzając szereg młodszych polityków i fachowców.

W Wielkiej Brytanii rozpoczęła się kampania wyborcza. Niezawodnie odbije się ona bardzo silnie na międzynarodowej polityce Wielkiej Brytanii w tym okresie. Można zaryzykować twierdzenie, że i polityka sowiecka będzie w tym czasie pełna aktów nieszkodliwych ustępstw i pojednawczości, które, wykazując tendencje pokojowe Rosji Sowieckiej, miałyby ułatwić dojście do władzy w Wielkiej Brytanii elementów liczących na możliwość szczerego porozumienia z ZSRR. Znalazły się w Labour Party odłamy wysuwające zarzut pod adresem rządu brytyjskiego, że „polityka brytyjska w przeszłości była bardziej zainteresowana ochroną ukrytych interesów w krajach tego rodzaju jak Belgia, Grecja, Włochy i Polska, niż oddaniem tych krajów pod rządy wybrane przez same

zainteresowane narody". Oczywiście, że za zarzutem tego rodzaju może się kryć aż nadto przejrzysta chęć zasłonięcia się formułką pozornej demokracji przed współodpowiedzialnością za los Europy. Powrócił na widownię znany przyjaciel ZSRR p. Cripps.

Programy partij brytyjskich muszą zająć zdecydowane stanowisko w kwestiach społecznych. Stanowczo wypowiedziała się partia pracy. Żąda natychmiastowego „uspołecznienia przemysłu, a w szczególności kopalń węgla, kolei, przemysłu żelaznego i stalowego, upaństwowienia banku angielskiego”.

Radykalne reformy społeczne, któreby na miejsce sowiecko - bolszewickiej demagogii wprowadziły prawdziwie głębokie i postępowe zmiany ekonomiczne i socjalne, a w pierwszym rzędzie upowszechnienie dostępu do dóbr kulturalnych, muszą znaleźć się w programach

nie tylko angielskich partij, ale i w programach wszystkich ruchów jutra, które nie chcą pozostać poza nawiasem głębokiego rewolucyjnego nurtu, który idzie przez świat.

Zasadniczy to element ocalenia Europy i świata — znalezienie nowych rewolucyjnych sił, któreby zapewniły wolność oraz pełny dostęp do dóbr materialnych i duchowych człowiekowi i narodowi, nie oddając go w nową niewolę czerwonego totalizmu.

Czy Europa znajdzie w sobie twórcze siły, które sprostać potrafią najtrudniejszym problemom społecznym to — obok drugiego zagadnienia: czy świat zrozumie nurt wędrówki ludów uciekających przed wschodem — najbardziej ważne problemy — na pograniczu wojny i pokoju...

25.V.1945.

Jarostaw Nagórski

## Strofy

Wykrzykujące, mściwe i złe,  
Aż nocą w wibry srebrne szepcą cichutko  
W bólu strzelisty gotyk.  
Pajęczynami smutku,  
Po niciach dendrytów sennych  
Płynie zgubiony motyw  
Sensem daremnym.

-----  
Grają skrzypce nierzeczywiste  
Nad ruinami miast.  
W zgliszczach prawdziwych i bliskich  
Cienie gam wznoszą ramiona  
O wiele za późno.  
Daleko za wszystkim  
Tragicznie kona  
Nutą złamaną  
Puzon.

-----  
Biali anieli, wstęgi błękitne, harficzny pogłos,  
Dłonie opadłe w zwiewność ułudną, w szemrzące logos,  
Nurtem wezbranym, skarpą zieloną, sklamaną tratwą  
Narasta gęźba mleka i ciszy. Dosyć — zbyt łatwo.

-----  
Znaczenie? A co jest wysokie?  
Że wolny śpiew?  
Posłuchaj, z jakich okien  
Będiesz spoglądał na krew?  
Słowo? W Apeninach  
Grają breny w zmęczonych dłoniach.  
Krzywisz się? Linia  
Walk, nie Curzona.

zainteresowane narody". Oczywiście, że za zarzutem tego rodzaju może się kryć aż nadto przejrzysta chęć zasłonięcia się formułą pozornej demokracji przed współodpowiedzialnością za los Europy. Powrócił na widownię znany przyjaciel ZSRR p. Cripps.

Programy partii brytyjskich muszą zająć zdecydowane stanowisko w kwestiach społecznych. Stanowczo wypowiedziała się partia pracy. Żąda natychmiastowego „uspołecznienia przemysłu, a w szczególności kopalń węgla, kolei, przemysłu żelaznego i stalowego, upaństwowienia banku angielskiego”.

Radykalne reformy społeczne, któreby na miejsce sowiecko - bolszewickiej demagogii wprowadziły prawdziwie głębokie i postępowe zmiany ekonomiczne i socjalne, a w pierwszym rzędzie upowszechnienie dostępu do dóbr kulturalnych, muszą znaleźć się w programach

nie tylko angielskich partij. ale i w programach wszystkich ruchów jutra, które nie chcą pozostać poza nawiasem głębokiego rewolucyjnego nurtu, który idzie przez świat.

Zasadniczy to element ocalenia Europy i świata — znalezienie nowych rewolucyjnych sił, któreby zapewniły wolność oraz pełny dostęp do dóbr materialnych i duchowych człowiekowi i narodowi, nie oddając go w nową niewolę czerwonego totalizmu.

Czy Europa znajdzie w sobie twórcze siły, które sprostać potrafią najtrudniejszym problemom społecznym to — obok drugiego zagadnienia: czy świat zrozumie nurt wędrówki ludów uciekających przed wschodem — najbardziej ważne problemy — na pograniczu wojny i pokoju...

25.V.1945.

Jarosław Nagórski

## Strofy

Wykrzykujące, mściwe i złe,  
Aż nocą w wibry srebrne szepcą cichutko  
W bólu strzelisty gotyk.  
Pajęczynami smutku,  
Po niciach dendrytów sennych  
Płynie zgubiony motyw  
Sensem daremnym.

Grają skrzypce nierzeczywiste  
Nad ruinami miast.  
W zgliszczach prawdziwych i bliskich  
Cienie gam wznoszą ramiona  
O wiele za późno.  
Daleko za wszystkim  
Tragicznie kona  
Nutą złamaną  
Puzon.

Biali anieli, wstęgi błękitne, harficzny pogłos,  
Dłonie opadłe w zwiewność uludną, w szemrzące logos,  
Nurtem wezbranym, skarpą zieloną, skłamaną tratwą  
Narasta gęźba mleka i ciszy. Dosyć — zbyt łatwo.

Znaczenie? A co jest wysokie?  
Ze wolny śpiew?  
Posłuchaj, z jakich okien  
Będziesz spoglądał na krew?  
Słowo? W Apeninach  
Grają breny w zmęczonych dłoniach.  
Krzywisz się? Linia  
Walk, nie Curzona.

A pan, proszę pana, pomyśl sobie  
O abstrakcyjnej trzeciej osobie.  
Trochę z księżycą, trochę z ruszałek —  
Wie pan, doprawdy, to — niebysza!

Tutaj jest wiosna (we Włoszech — więc włoska),  
W Naafi kakao i cukier w kostkach.  
W ciemności pinia — wielki kalafior —  
Szumi na wietrze (drzewa potrafią).

Artur Międzyrzecki

## Mowa cieni

Jak poezja Norwida jest „mową ruin”, tak utwory Lechonia są mową cieni.

Ale ruiny, jak trafnie przezuwa Brzozowski, istotnie mówią. Mówią opuszczeniem, samotnością i niezniszczalną obecnością wieków. Odkrywają miarę swej wielkości w powolnym zapadaniu się w czas, w obsuwaniu się kształtów, które żyły kiedyś i promieniowały. Wspaniały proces ciągłego odradzania się kultury europejskiej jest historią odżywiania woli heroicznej ruin do powstawania i trwania. W tym szczególnym sensie poezja Norwida jest istotnie ciężka i samotna. Żąda bowiem od słowa, aby zakłęło w sobie prawdę najbardziej lotną, a jednocześnie ogromną i piękną. Tą prawdą jest wiara w życiodajność rzeczy, które niszczej.

Klasycyzm poezji Norwida, ten „ruiniczny” i tajemniczo niedomówiony, przypomina istotnie szczątki zburzonych arcydzieł, z których każdy musi i chce mówić za siebie. Piękno jego sztuki leży w sile niezmożonej rzeczy, skądś wiodących swój ród i dokądś zmierzających w swej głębokiej, choć często nieujawnionej potrzebie istnienia i działania. Turysta oglądający wyszczerbione pomniki kultury starożytnej widzi nie kikuty żalozne kolumn i wiązań, ale pełnię, którą nadłamał, ale której nie zmógł czas. Norwid dobudowuje sklepienia kamiennym ścianom na chwilę przed ich ostatecznym skruszeniem. Ten obraz ruin z wczoraj, posyłających swe ostatnie pozdrowienie i sekret piękna tworom jutra jest artystycznym wyznaniem wiary autora „Promethidiona”. Jeśli czytamy go teraz lepiej, z coraz większym przejęciem i zrozumieniem, jeśli czujemy, że nasi następcy wyczerpią zeń do dna to, co ciągle uchodzi jeszcze naszej uwadze to dlatego, że Norwid jest poetą zwycięskiej tradycji.

Wielkość poezji Norwida bierze tedy swój początek z wiary w ponadczasową trwałość dzieł ludzkich, w których ucieleśniony został beziemienny duch twórczy. Poczucie nieprzerwanej ciągłości kulturalnej opiera się na głębokim przekonaniu, że dzieło sztuki jest formą stwarzania, kreacji i prawdziwy artysta nie tyle wy-

raża, ile przewycięża i obiektywizuje w nim swoją osobowość.

Od kultury Odrodzenia począwszy, poprzez klasycyzm i romantyzm snuje się już nieprzerwanie proces podważania średniowiecznego, a więc anonimowego ideału *dzieła sztuki* na rzecz wzrastającego jednocześnie tryumfu ideału artysty jako samowystarczającego i niewyczerpanego fenomenu ludzkiej twórczości. Ten rzekomy humanizm, w którym człowiek stał się nagle ośrodkiem, a nie jednym z uczestników ma oczywiście również oprócz krzywej wzniesień swoją krzywą gwałtownego upadku. Wszystko to, co urodziło się w sztuce już po ostatecznym skonie romantyzmu, a więc modernizm, symbolizm, rozmaite formy świadomego dekadentyzmu nie było niczym innym jak kompromitacją artysty, którą ostatecznie przypieczętował freudyzm ze swoją psychoanalityczną teorią sztuki. Okazało się bowiem, że artysta nie jest świadomym swego celu twórcą, ale bezwolnym przedmiotem procesów fizjologicznych, które popychają go do poszukiwania wyrazu zastępczego dla własnych, niewładowanych podnień lub zahamowań, kompleksów lub „wyzwoleń”. Z tym niebezpiecznym uczuciem rozdwojenia wkroczyliśmy w okres wojny, szukając w świadomości niebezpieczeństwa, zagrażającego kulturze widoków na odnalezienie dróg jej odrodzenia. Przeżywamy niespotykany dotąd zmierzch poezji, a wraz z nią i całej sztuki. Jedyną czystą materią z której zbudować będzie można twórczość powojennego jutra jest postulat uczestnictwa jako warunku *sine qua non* nowego widzenia artystycznego. Czyli postulat uszlachetnionego realizmu. Dokument urasta do miary dzieła sztuki. W nim wyraża się człowiek, który moralnie pragnie dźwignąć to, co wymyka się jego sumieniu artystycznemu. Wszystko inne jest rozpaczliwym gestem obrony *zagrożonej tradycji*, wojnę wypowiedzianą wojnie.

Takie odległe i zdawałoby się abstrakcyjne refleksje snuć można na marginesie „Lutni po Bekwarku” Lechonia. Zaproszeni na ten cichy wieczór w garderobie duchów asystujemy w

młczeniu spóźnionemu obrzędowi z ciężkim przeświadczeniem, że właściwe przedstawienie już dawno się skończyło. Oto porzucone maski: Jana z Czarnolasu, błędnego lorda Byrona, ubogiego suchotnika Słowackiego, żeglarza zaświatów Conrada, dumnego Norwida, Marsylianki co „budzi jakieś mary na paryskim bruku”, Konrada co „tak wierzył słowom Mickiewicza, że zagrał nawet więcej niż było w tej roli”. Przywoływane, przywoływane z tamtego

brzegu, gdy z mgły gęstej jak przyszłość nie wyłonił się jeszcze brzeg nowy. Słaba poświata rzeczy utraconych na zawsze. A może to modlitwa żarliwa o powrót? Zapatrzeni w ludzi zapomnieliśmy lekkomyślnie o ideałach. I gdy z rozpaczą i niepokojem w sercu powtarzamy ich imiona, ciemność bezlitosna odpowiada echem nieczułym: jacy? Mowa ruin jest dumna. Ale mowa cieni jakże jest tragiczna!

Gustaw Herling-Grudziński

## O wolność i niezależność sztuki

W dalszym ciągu dyskusji na tematy kultury i sztuki (patrz: Józefa Jaremy „Na pozycjach cywilizacji i sztuki” w n-rze 1 (19), Mariana Kościalkowskiego „O malarstwie” i Michała Pawlikowskiego „Niec o cywilizacji i sztuce” w n-rze 2-3 (20-21), oraz Mariana Kościalkowskiego „Sztuka na rozkaz?” w n-rze 4 (22) „Na szlaku Kresowej”) — oddajemy głos p. Krystynie Domańskiej.

Artykuł p. Pawlikowskiego jest bardzo ożywiony i polemiczny w tonie, niestety jednak nie bardzo wiadomo, o co w nim autorowi chodzi. W pierwszej części swojego artykułu p. Pawlikowski stawia p. Jaremie zarzuty formalne, podkreślając wieloznaczność i niejasność słowa „kultura”, w drugiej części zaś, raczej merytorycznej, próbuje własnych sformułowań w dziedzinie kultury i sztuki, posługując się tymi samymi, krytykowanymi przez siebie pojęciami, oraz dziwolągami jak np. — „norma”. (Nie wiadomo, czy chodzi o normę stachanowską, czy o przeciętność intelektualną. — w każdym razie terminem z dziedziny estetyki to nie jest).

Powinno być wiadome każdemu, kto miał do czynienia z naukami humanistycznymi, a specjalnie z metodologią nauk, że każda praca naukowa, czy nawet seminaryjna, powinna być poprzedzona przez precyzyjną definicję poje-

cia, które podlega dalszym rozważaniom. Ustala się w ten sposób płaszczyznę porozumienia i zapobiega jałowym dyskusjom. Są dwie metody ustalania definicji: pierwsza — a priori — narzuca definicję z góry, druga — stara się wnikać w sens słowa wyjętego z języka potocznego i wybrać najbardziej precyzyjną jego definicję.

Cały ten tok rozprawy naukowej zupełnie nie obowiązuje dziennikarza, ani autora artykułu polemicznego, który rzucając szereg myśli i problemów, stara się wywołać u czytelnika oddźwięk intelektualny i skłonić go do refleksji nad poruszonym problemem.

Artykuł p. Jaremy jest właśnie takim rzuceniem pewnych hasł i problemów i jest objawem niezwykle zdrowym i ogromnie na czasie.

Jeden z wybitnych teoretyków kultury i wychowania, Hessen, pojmując kulturę jako ogólnoludzki proces twórczy, dążący do pewnych wartości abstrakcyjnych i nieskończonych.

Dzieli on kulturę na trzy zasadnicze działy: wiedzę, sztukę i etykę; wiedza dąży do poznania prawdy, sztuka do zrealizowania piękna, etyka i religia do urzeczywistnienia dobra i sprawiedliwości.

W tym ogólnoludzkim procesie twórczym, zaopatrzonemu w cele abstrakcyjne i nieskończone, wybiegające poza aktualne dążenia jednostki, narodu czy społeczeństwa, można się dopatrzeć jakichś pierwiastków boskich.

Kultura tworzona przez jednostki, należące do pewnego społeczeństwa i



oparty na kontrapozycji zieleni i rdzawej czerwieni uderza swą dojrzałością, wytrzymując doskonale próbę czasu.

Poddanie się chlubne wpływowi jednego z najwybitniejszych malarzy francuskich ostatniej doby — Matisse'a — znalazło też wyraz w świetnych rysunkach aktów kobiecych, z wielką pewnością zarysowanych jednokreskową linią o dużej plastyce i zdolności, a mogącej nadto zaspokoić wszelkie wymagania klasycznych kanonów piękna ciała ludzkiego.

Westwalewicz w kilku płótnach obraca się w właściwej sobie spatynowanej tonacji, malując przeważnie kwiaty i pejzaże. Do podkreślonych cech bardzo zrównoważonego malarstwa tego ar-

zanego z wielkiej pracowitości i wielostronności grafika i ilustratora.

Dostosowany do ram wystawy skromny katalog nie tylko orientuje widza w rozkładzie prac, ale zapoznaje każdego z intencjami włoskich organizatorów tego pokazu. Dyrekcja „Galleria S. Bernardo” pisze więc m. in., że jest to „przede wszystkim hołd dla wielkiej Polski, która już złożyła i dalej składa tak znaczny wkład na rzecz wspólnej sprawy, a równocześnie jest to wyraz uznania dla każdego rozmachu malarzkiego, który ożywia każdego z wystawiających artystów Polaków”... „przybyłych do Rzymu z wojskami niosącymi wyzwolenie”.

Jarema zaś w przedmowie, w imieniu wła-



(Rys. Z. Turkiewicz)

tysty wypadu dodać odważniejszą próbę wyjścia poza realistyczną fakturę w kwiatkach nr 2.

Oprócz rysunków Bogucka wystawiła pejzaż w tak charakterystycznej dla niej gamie dysonansowej zieleni i czerwieni, uderzający bajkowym nastrojem, mającym swe źródło w ciągle świeżej, dziecinnej imaginacji artystki.

Wreszcie, choć bynajmniej nie na końcu, wypada wspomnieć o obrazach Matuszczaka, osiadłego dziś w Egipcie, wykazujących zalety malarstwa kojarzącego w sobie osiągnięcia francuskiego impresjonizmu z wyrafinowaniem wschodniej sztuki plastycznej.

Leopold Haar wystąpił tym razem z kilkoma gwaszami o silnym charakterze ilustracyjnym i tonacji obliczonej aż nazbyt na zewnętrzny efekt. Jest to jednak niewątpliwie następny krok w rozwoju zdolności malarzskich tego dotychczas

snym i kolegów, wyjaśnia włoskiemu, i nie tylko włoskiemu widzowi, że „obowiązkiem artysty będącego świadkiem tragedii swej ojczyzny — a być może całej cywilizacji współczesnej — jest pracować ze wszystkich sił nad pomnożeniem dorobku rozproszonych towarzyszy walki, bądź też tych, którzy w przymusowych okolicznościach nie są w stanie prowadzić nadal swej pracy artystycznej”. Zastrzega się przy tym, iż „Nie popadliśmy w dwuznaczną sytuację, w którą tak łatwo wpaść w tych czasach, a polegającą na tym, aby przedstawiać — poza sferą wyłącznych poszukiwań estetycznych — epizody i fragmenty wojenne, nie dlatego, żeby te epizody i fragmenty nie zostały głęboko przeżyte w świadomości artystów, lecz dlatego, iż wiemy dobrze, jak trudnym zadaniem jest wyobrazić takie tematy, bez popadnięcia w najbardziej pu-

sty. rodzaj malarstwa, zwany pogardliwie „pompieryzmem”... „gdyż malarstwo, prawdziwe malarstwo, nie zależy od tematu (jak pisze wielki Matisse), ale od sposobu, w jaki ten temat zostanie wyrażony”. Po czym dodaje: „Droga wskazana przez tradycję francuskiego malarstwa daje temu, który ją dobrze zrozumie, niezliczone możliwości rozwiązań artystycznych, bez potrzeby czynienia kompromisów i bez potrzeby takich wyrzeczeń, do których zmuszani są do dziś reakcyjni neoklasycy spod znaku rządów dyktatorskich...”

To krótkie wyznaczenie wiary artystycznej kończy się wyrazami wdzięczności dla zrozumienia okazanego malarzom polskim przez publiczność włoską, przy czym zrobione jest wyraźne zastrzeżenie, że wystawiający malarze... „nie mają pretensji do tego, aby wystawionym zbiorem prac reprezentować całe współczesne malarstwo polskie”.

W uzupełnieniu do tych rozważań nasuwa się uwaga, iż w dziedzinie sztuki przynajmniej na dotychczasowym teatrze wojennym w Europie, tj. na całym kontynencie, powstała tak paradok-

salna sytuacja, iż prawdziwą swobodę twórczości mieli tylko wybrani żołnierze zachodnich armii sojuszniczych. Mieli skromne zapewne, ale wystarczające jak widać warunki do pracy niezależnej, nie będąc skrzępowani wymaganiami rynku odbiorców, koniecznością przystosowywania się do gustu konsumentów sztuki, mając zdjętą z głowy najstraszniejszą troskę o własne minimum utrzymania, która mogła odebrać ochotę do pracy i pomysłowość wielu cywilnym artystom w krajach wyzwalanych.

Świadomość tego przejawia się w coraz dojrzałszych wystąpieniach tych artystów, którzy z tego przywileju żołnierskiego korzystali, biorąc sobie do serca życzliwe uwagi krytyki, a trzymając się przy tym mądrości zawartej w jednym z aforyzmów słynnego autora „Charakterów” — La Bruyere’a:

„Nie ma dzieła tak doskonałego, któreby się całkowicie nie rozplynęło w powodzi krytyki, gdyby twórca dawał posłuch wszystkim swoim cenzorom, wówczas zwłaszcza, gdy wiadomo, iż każdy z nich potępia tę część dzieła sztuki, która mu się najmniej podoba”.

Pen

## Artyleryjskie błyski

### I

Domek na wzgórzu. Zdemolowana casa jakichś nieobecnych contadinów, którzy sami zapewne schronili się gdzie indziej jako sfolti. Wszystkie szyby wybite, kurz, przeciągi. Jest to punkt obserwacyjny jednego z PAL-i Kresowej.

W dzień obok punktu obserwacyjnego nie wolno się pokazać. Łazik zatrzymuje się z daleka od domku, do którego wchodzi się i wychodzi chyłkiem. Na budynek padają serie spandau’a, a w promieniu kilkudziesięciu jardów rozrywają się pociski dział i moździerzy. Ctery pobliskie chałupy zostały niemieckimi pociskami trafione i zapalone.

Wewnątrz domu wyczuwa się nastrój pogotowia bojowego. Granaty ręczne, zgodnie z nazwą, znajdują się wszędzie pod ręką, podobnie jak amunicja do tommyguna. Każdej chwili można się spodziewać nieprzyjacielskiego natarcia lub najsicia patrolu.

### II

Pokój obserwacyjny na piętrze. Na metr przed oknem luneta nożycowa. Do samego okna nie wolno się zbliżać. Drugi otwór obserwacyjny, wyżej położony, stanowi szczególny, wyżej położony, stanowi szczególny, drzwi wybita w ścianie pod pułapem. Drzwi rozłożone na dwóch szafach, krzesło, drabina i lornetka.

Zasięg obserwacji — od Faenzy do Imoli, przed i poza via Emilia. Bezpośrednio na wprost — Castel Bolognese, obsadzony jeszcze przez Niemców.

Obserwator artyleryjski wylawia wszelkie poruszenia na przedpolu, poza rzeką Senio. Dekonspiruje zamaskowane punkty oporu, bunkry, punkty obserwacyjne. Przekazuje przez telefon lub radio wynik obserwacji na stanowiska dział i kieruje ogniem, podając poprawki odległości, kierunku, nasilenia ognia, zapalnika...

### III

Żywy krajobraz wzdłuż pasa ziemi niczyjej wymaga nie mniejszej umiejętności interpretacji niż zdjęcie lotnicze. W tym, co dla oka laika będzie tylko mniej lub więcej malowniczym italskim pejzażem, wytrawne oko obserwatora-artyleryzisty potrafi odcyfrować mimo teatralizacji kamuflażu, punkty oporu, gniazda spandau’ów, bunkry, stanowiska dział i moździerzy, punkty obserwacyjne i t.p.

Najważniejszą i najbardziej żmudną pracą obserwatora jest zgranie w swojej świadomości trzech różnych elementów: krajobrazu, mapy i strategicznej rzeczywistości, w szczególności rozgraniczenie linii własnych i nieprzyjacielskich. Wynaga to wprawy, cierpliwości i wyobraźni.

### IV

Zastęp obserwacyjny składa się z żołnierzy wyborowych. Wielu z nich było już kilkakrotnie rannych, wielu jest odznaczonych. Oswoili się już w ciągu rocznego, prawie nieprzerwanego przebywania na linii, ze wszystkimi przejawami frontowego bytowania,

ze świstem pocisków i trajkotaniem broni automatycznej, z uśmiechami signorin i smakiem frontowego drobiu, z upojeniami włoskiego wina i śmiercią najbliższych towarzyszy broni. Są to weterani włoskiej epopei Korpusu.

#### V

Łączność ze stanowiskami dział musi być, podobnie jak obserwacja, niestanna. Sieć telefoniczna, choć zbudowana z solidnego kabla, rwie się na froncie jak pajęczyna. Każde przerwanie linii, niezależnie od pory dnia, pogody, nasilenia ognia nieprzyjacielskiego, wymaga natychmiastowej kontroli i naprawy. To też w kampanii włoskiej łączność artylerzysta dała największy odsetek zabitych i odznaczonych.

Mimo ciężkiej i niebezpiecznej służby, a może na skutek niej, żołnierze łączności nigdy nie tracą fantazji. Ani upodobania do wina... O zmierzchu podoficer łączności, uzbrojony w hełm i szcypce, i dwaj inni żołnierze, zaopatrzeni w baniaki i fiaska, wyruszyli w okolice P.O. po wino. Pamiętali, że przy budowie linii natrafili gdzieś na jakiś „niewąski” gatunek i własny kabel posłużył im za nie Ariadny. Jakiś oficer piechoty, zaniepokojony ruchem na drodze w swym rejonie, jeszcze przed zapadnięciem całkowitego zmroku, woła do nich z progu swego domu: „A wy się tam czego, przyjaciele, szwendacie?”. Ale dobry łącznościowiec nigdy w akcji nie traci przytomności umysłu: „Kontrola linii, panie poruczniku”.

#### VI

Rodzajem służby, który czeka na rehabilitację, który wymaga rewizji powszechnego, a niesprawiedliwego sądu, jest funkcja pocztowych-osobistych. Pracują zawsze więcej od pozostałych żołnierzy, wcześniej zrywają się ze snu i później idą na spoczynek, z reguły faszają większość nocnych służb i wart. Towarzyszą na P. O. swym oficerom i tak samo jak inni żołnierze obsady punktu narażeni są na wszystkie niebezpieczeństwa, niewygody i trudy pierwszej linii frontu, a mimo to ogólna opinia kolegów uważa ich służbę za synekurę i ich samych obdarza nie zawsze wdzięcznym określeniem.

#### VII

Odcyfrowany bunkier niemiecki pod Castel Bolognese przez szereg dni niepokoił cały zastęp wileńskich artylerzystów. Widzieli przed nim często żołnierzy niemieckich, którzy przechodzili, wykonywali jakieś roboty ziemne, umocnienia... Wreszcie artylerzyści postanowili go zlikwidować. Po krótkim wstrzeliwaniu cztery trafne pociski umieścili się w samej szczelinie bunkra.

#### VIII

Punkt obserwatora wysuniętego znajduje się przy kompanii piechoty w dużej chałupie wiejskiej na wzgórzu, w odległości kilometra od P. O. dowódcy dywizjonu.

Sceneria jak z realistycznego filmu wojennego. Pod jedyną ścianą domu, jaka była poza obserwacją nieprzyjaciela, stoi dwóch jeńców niemieckich, leutnant i unteroffizier, twarzą do muru, z rękami do tyłu, mnących nerwowo rękawiczki. Tuż za nimi wartownik z tommygunem. Zostali schwytani też nocy przez naszą piechotę wewnątrz naszych linii. Mieli na sobie umundurowanie amerykańskie, pod nim włoskie i na spodzie niemieckie.

Wzdłuż też jedynej nieobserwowanej ściany, oraz wewnątrz budynku, kręci się wielu żołnierzy. Ruch, szum, w każdym kącie po kilka aparatów radiowych i telefonicznych. W domku mieści się kompania piechoty karpackiej i aż czterech obserwatorów naraz: PAL-u kresowego, wileńskiego, karpackiego i moździerzy.

Wokół innych ścian budynku panuje w dzień martwa cisza. Domek jest pod obserwacją i w zasięgu niemieckich spandau'ów i strzelców wyborowych. Żołnierze najczęściej martwi, że niemożliwe jest nawet podejść do odległego o dziesięć kroków zabudowania, w którym mieszczą się wielkie beczki z winem.

Zato w nocy podciągają tam całe pielgrzymki, piecze i zmotoryzowane, (podjeżdżają nawet beczkowszy), zaopatrujące we frontowe białe, doskonałe i niekosztowne, całe zaplecze pierwszej linii aż po najdalej cofnięte eszelony. Front odwzdzięcza się tyłom za dostawę żywności.

#### IX

Wileńscy artylerzyści przywykli do wspierania własnej pierwszej piechoty, szczególnie Brygady Wileńskiej, z którą złączeni są oddawna „sitwą”. W czasie działań włoskich zdarzało im się nadto wspierać i Hindusów i Nowozelandczyków i Szkotów i partyzantów z brygady „Maiella”.

Tym razem artylerzyjskie zębry wspierają piechotę karpacką. Współpraca oddziałów i współzycie żołnierzy ułożyły się jak najpomysłniej. Artylerzyści mówią o piechurach z uznaniem: „Morowe chłopaki. Przyprowadzili wczoraj spod Niemca, z za rzeki (Senio) — krowę. Mamy ją dzisiaj na obiad”.

#### X

Po zmroku teren obserwowany ulega przeinaczeniu. Nie ogląda go się już przez szkło, wystarczy obserwacja gołym okiem, lecz z busolą w rękę. Błyski wystrzałów, ognie rozrywów, świetlne tory pocisków, wielobarwne rakiety, cała fajerwerkowa feeria, sprawiająca wrażenie jakiejś kolorowej świetlnej irracjonalnej fantazji disneyowskiej, dla artylerzysty jest tematem żmudnego odnajdywania azymutów.

#### XI

Wieczorem obsługa P.O. zbiera się w głównej izbie casy przy kominku, gdzie płoną wielkie kłody drzewa. W dzień na zbyt długie odgrzewania stawy nie możnaby sobie

pozwolić, gdyż dym, którego podobno nigdy nie ma bez ognia, mógłby go właśnie — czyniąc zadość przysłówiu — ściągnąć. Nostalgiczne melodie piosenek radiowych zlewają się z pirotechniczną kakofonią batalistyczną w jedną, frontową całość.

Ucho artylerzystów, wprawione roczną obecnością na froncie italskim, bez trudu identyfikuje rodzaj, kierunek, kaliber, odległość detonacji i seryj maszynowych. Najczęściej słychać świst przelatujących nad głową w obu kierunkach pocisków i rytmiczne trajkotania broni automatycznej.

Brak cywilów, brak signorin, niente galline e ocche, którymi tak dobitnie upamiętnił się pościg adriatycki, brak nawet wody, którą trzeba wraz z żywnością dowozić ze stanowisk na łażkach i mułach, ale zato jest wina wbród, oraz ta pełnia życia, jaką daje bliskość niebezpieczeństwa śmierci.

Rasowy artylerzysta dobrze się czuje tylko na P.O., którego specyficznej aurze, żywszy się z nią, nie umie się już oprzeć.

Azymut

## Ach, zasnąć na wojnie!

Włosy drzew  
na niebie żółtym od fanatyzmu,  
po szybie spływa  
żyła deszczu,  
płaczem, płaczem  
nabrzmiała.  
Przez ściany  
wpływa  
muzyczny wysoki ton,  
samotny ton,  
skrzypiec.  
Włosy drzew  
wiatrem targane,  
skrzypcowy śpiew  
przez pęknięta

od pocisku  
ścianę.  
Skrzypcowy śpiew  
ciągnie, ciągnie  
zapomniany nerw  
po nieistniejącym zębnie.  
Nastrój,  
jakby umrzeć.  
Zasypiam  
w skrzypcowym,  
samotnym,  
dalekim  
śpiewie.

Ave

## Dunia

Kiedy wpełniono nas do celi, Halina krzyknęła, cofając się jakby teatralnym gestem. Strażnik stał z pękiem kluczy przy samych drzwiach i milcząc zagradzał odwrót.

Była późna noc, kobiety w celi już spały, ale przebudzone naszym wejściem, podniosły wrzawę, która brzmiała w mrocznej i gęstej czeluści rozpaczliwym protestem. Na trzech piętrach nar kobiety zdawały się wieć w konwulsjach. Unosiły głowy, nie mogąc usiąść pod niskim pułapem. Ugrzęźliśmy na progu w nawarstwieniu ciała. Strażnik stał bez ruchu. Nawet klucze nie zadzwoniły w jego ręce. Milczał.

Wtedy z pierwszego piętra zsunęły się nogi. Ogromne, guzowate stopy i tydki szar-

re, jak pnie odarte z kory. Głos, który teraz się rozległ, był rykiem goryla: — „Nowe niech staną koło paraszy! Nowe tam!” — Zrobiło się nagle cicho. Za naszymi plecami zatrzęsły się drzwi, klucz zagrzytał. Ogarnęło nas smrodliwe, gorące powietrze.

Halina powiedziała mi szeptem do ucha: — „A zewnątrz wygląda jak stary wiejski dwór”. Tak to w istocie wyglądało, kiedy po kilkugodzinnym marszu z dworca zobaczyliśmy pietropawłowskie więzienie. Ganek, drewniane skoble w bramie, koiatka i zapach obornika. Zapach, jak się wprędce przekonaliśmy, pochodził z parowej dezynfekcji brudnej odzieży więźniów. „Dwór” okazał się kaźnią.

Stojąc przy drzwiach, zaczęłyśmy widać, wiotczeć, omdlewać. Na moich plecach opierała się głowa Janki, wilgotna od potu. Wanda jęczała cienko, a kiedy upadła, leżąca na podłodze kobieta uszczypnęła ją w twarz. Ocucona bólem, Wanda rżała tak samo cienko i żałośnie. Cela oddychała, burczała, chrypiała.

Zacząłam się mocować z tym, co się nazywa „czasem” „godziną” „minutą”. Pchałam to, jak naładowany wóz — przed siebie, przed siebie. Jeszcze trochę wysiłku, a przetoczy się noc. Przepona brzuszna, wspierana wetchniętym powietrzem, najdłużej mocowała się z oporem. Ale za brakło powietrza i krzyknęłam głośno. Odpowiedział mi ryk goryla: — „Jeszcze nie zdechła, jeszcze, przeklęta, ludziom spać nie daje!” — Cela milczała, urzeczona tym zwierzęcym i groźnym głosem. Godziny i minuty ugrzęzły w nieprzytomności.

Ranek miał kolor i gęstość mleka. Na policzkach Wandy, opartej głową o nakrywą paraszy, mazały się czerwono-brązowe smugi krwi, która, ciekąc z nosa, zakrzepła przez noc. Natomiast wszystkie twarze lśniły zielonym potem. Na wargach szara, zeskorupiała pleśń pękała przy ziewaniu.

Z nary na pierwszym piętrze wysunęła się wielka ręka w stronę łufcika otwartego jakby nie w celi, ale w żółcącym się niebie. Ręka tkwiła nieruchomo rozczapierzonymi palcami, ciemna, podobna do liścia kasztanu. Ziewnięcie zakończone skowytym oznajmiło nam przebudzenie się niewidzialnego potwora. Po celi poszedł szept: — „Dunia wstała” — i zaraz skotłowało się na legowiskach. Odepchnięte od paraszy, wpadłyśmy między skłębione ciała i w ten sposób dopiero każda z nas posiadała swoje miejsce w celi. Było nim — zarzucona cudzymi łachami szpareczka, albo trójka-cik, kwadracik, kółko.

Tak umieściliśmy się na dole. Na narach za to toczyła się walka o każdy centymetr. Czyjeś ręce podepchnęły Wandę — najsiłabszą z nas — na pierwsze piętro, ale dwie wielkie stopy ustawiły się sztorcem i ryk zmroził nam serca. Już wiedziałyśmy, że to Dunia grozi „rozwaleniem czerepu” i „chłeptaniem krwi z gardła”.

Sto trzydzieści kobiet zamarło, zastygło. Te, które czesały włosy, zatrzymały posuwanie się grzebienia; te, które wdziewały koszule, wpięły palce w płótno; bohomyłki-tatarki przestały poruszać wargami. Znowu najpierw zsunęły się stopy i tydki-pnie, potem beczkowate uda nie zupełnie przykryte ubraniami. Wreszcie spod daszku

nar wychylił się tors i głowa. Wszystkie na parterze cofnęły się ku ścianie. Zrobił się luz i Dunia zeszała. Wyprostowała się, stanęła.

Głową sięgała drugiego piętra. Ogromnym ciałem wypełniła prawie trzecią część celi. Ramionami zagarnęłaby połowę. Owszem, zamachnęła się ramieniem, ale wszystkie stłamsiły się, aby Dunia mogła przeciągnąć się, otrząsnąć, wierzącą nogami. Twarz Duni, zbyt drobna do ogromu postaci i szerokości bar, nie była zresztą potworna. Pobróżdzona znakami po ospie, miała liliową barwę wrzosu. Oczy wepchnięte między czoło i wystające kości policzkowe były zielonawo szare, migotliwe jak źrenice drapieżca. Znikomy nos podciągał górną wargę, do której dolna dostosowywała się wyrazem nadąsania. Mała broda zachowała szczątkowy wdźwięk kobiecy.

Dopiero, kiedy wrzasnęła na nas: — „Patrzą się, jakby nigdy nie widziały kobiety!” — objawiła się jej straszność. Usta stały się paszczką o wilczych, tygrysiach czy też gorylich zębach. Widząc nasze przerażenie, zaczęła się śmiać — brzmiało to jak rzenie. Śmiejąc się, przestępowała na nogach jak słoń. Z wielkiej uciechy zmierzwiła rękami włosy płowe jak lwia grzywa. Była jak gdyby dziwotworem o cechach rozmaitych zwierząt.

Halina, mówiąc dobrze po rosyjsku, próbowała obłąkać Dunię, która zaskoczona dźwięcznym szczebiotem rodzimej mowy, zastrzygła małymi uszami, ujawniając czujny niepokój. I tak już zostało: czujnie, nieufnie w stosunku do nas. Leżąc całym obszarem swojej postaci na narze, przewieszała przez jej krawędź głowę i patrzyła w dół, czając się migotliwymi źrenicami. Przysłuchiwała się rozmowom Haliny z docentką moskiewskiego uniwersytetu, aby przedrzeźnić i lżyć. Bywało jednak, że wtrącała się układnym zdaniem. Wtedy mówiły kobiety: — „Gdyby Dunia zawsze chciała być taka „kulturalna”, zrobiłoby ją brygadierką celi”. — Dunia odbierała te oferty grubym słowem. Nie, nie była demagogiem. Była tyranem.

Kim właściwie była? Jeżeli inne sówieckie kobiety zwierzały się ze swoich tajemnic, szybko wychodziło na jaw, że ta, która przyznawała się do „rozstraty”, była bandytką. A ta, skromna i dziewczęca, poderżnęła kochankowi gardło we śnie. Polityczne natomiast zatajały się, dobrze już znając cenę swoich przewinień. Ceną Duni była kara śmierci zamieniona na dwadzie-

ścia pięć lat więzienia. Bo Dunia, wbrew pozorom, nie była pospolitą zbrodniarką. Uczyniła coś, co najwyższe czynniki państwowe wprawiło w zdumienie, a może nawet w popłoch.

Siedząc na moim tobołku i garbiąc się bez oparcia dla pleców, mogłam właściwie patrzeć już tylko spode łba, Ale żaden kął widzenia nie potrafił uzasadnić nieprawdopodobieństwa. Docentka Roza z niezmiennym, łagodnym wyrazem twarzy zabijała płuskwy pantoflem zdjętym z nogi. Inne robiły to pięścią. Krew splamiła więc ściany, układając się w nieumyślne arabeski. Za każdym stuknięciem obcasa Rozy, Halina wzdygała się, nie przerywając jednak inteligentnych dyskusyj. Mózg jej pracował sprawniej niż serce. Ale o chorym sercu rozmawiała tylko ze mną i wtedy jej pragnienia ograniczały się do czegoś nieosiągalnego — do odrobiny świeżego powietrza. Jej smągła drobna ręka, wachlując, usiłowała rozrzedzić zgęstniałą, duszącą masę. Patrząc na tę bezradną rękę, musiałam zawsze pocieszyć Halinę komplementem: — „Taką piękną ma pani rękę”. — A Halina zawsze odpowiadała tak samo: — „Osoby chore na serce mają ładne ręce”.

I Dunia zauważyła ręce Haliny. Patrzyła na nie z daleka, złośliwie i nienawistnie. Rozczapierała wtedy swoje palce, związała rękę w pięść i wybuchła triumfalnym śmiechem. Widząc to, siliłam się na żart: — „Czy zabezpieczyła pani swoje ręce? Czy duże dostanie pani odszkodowanie?” — Halina uśmiechała się: — „Dam sobie radę z Dunia”. — Niecierpliwio to nawet docentkę Rozę: — „Czym? tymi rękami?”

Upał w celi wzmagał się z każdym dniem, choć na dworze dął ze stepu suchy i zimny wiatr. Nieznacznie zwlekały z siebie kobiety odzież. Ale i koszule lepity się do skóry. Wreszcie zdjęły bieliznę. Nagie ciała, mokre i gorące ślizgały się o siebie. Powstawała wtedy nienawiść ciał, niezależna od uczuć, które przecież niekiedy wiązały się w sympatię a nawet w przyjaźń. Dlatego pobiły się dwie młode złodziejki, leżąc obok siebie. Dlatego też Roza obrzydziła sobie intelekt Haliny. Dunia zaś, schodząc z nary, mięsiła ciała nogami, jak ciasto w piekarni.

Któregoś dnia przyszła do celi kobieta prawie piękna, w sukni kwiecistej, modnej, paryskiej. Mogłaby mieć na imię Ivonne albo Germaine, ale nazywała się zwyczajnie — Masza. Witano ją po dłuższej nieobecności, bo wróciła tu ze wznoszonej rozprawy sądowej. Dunia zapięta

jak kogut wysokim dyszkantem i rzuciła się na Maszę z niweczającą fklivością. Gdy jednak Masza z tobołka, wyjęła chleb i garnuszek baraniego tłuszczu, gdy zaczęła częstować znajome, Dunia, bijąc się pięściami po głowie i szczerząc kły, zażądała wszystkiego dla siebie. Pochwyciwszy chleb i garnek, skoczyła na swoje piętro. Mlaskanie, żucie, tykanie odbywało się wśród ciszy niemal pustynnej. Zwierz spożywał swoją zdobycz. Nasyciwszy się, powiedziała: — jest wielka i mocna, dlatego potrzeba jej więcej pożywienia niż innym. Czteryście gramów chleba, „kpiatok” bez cukru i cienka zupa raz na dzień — czyż wytrzymałaby o tym dwadzieścia pięć lat więzienia? Czy zobaczyłaby jeszcze kiedy swoje dzieciątko? — Mówiła to głosem gruchającego gołębia, aby natychmiast wybuchnąć lamentem Hagary: — „O, synku mój, o zły losie, o straszliwa władzo nad nami!”

Po tym niebosiężnym krzyku, usnęła. Tuląc pod pachą Wandę — która trwała obok niej dla tej odrobiny chłodniejszego powietrza pod oknem, — leżała tak, wielka i budząca postrach nawet we śnie. Masza powiedziała poetycznie: — „nawiedzona”. Zatem Dunia o nadludzkich kształtach wymykała się człowieczeństwu jeszcze jakąś nadwyżką — ducha.

Kimże była Dunia naprawdę? Masza manierycznym szeptem opowiedziała mi jej historię: Wypasała byki na stepie i rozmyślała o różnych sprawach. Potem mówiła o tych sprawach na głos. Najpierw słuchał jej tylko step i byki, wkrótce jednak zaczęli się zbiegać ludzie jak na mityngi. Ach, czytać i pisać przecież nie umie, ale mowa nawiedzonych ma pociągające czar. Uwierzyli więc w nią, w tę Dunia. A potem — donieśli i zgubili. Męża miała malutkiego, nieznacznego. Zabili go w jej oczach, choć go broniła. Za silna jest i sama, broniąc go, rozszarpała do reszty. I dziecko miała. Może jeszcze jest to dziecko gdzieś u ludzi, ale najpewniej w „dziecdomie”. Młoda jest — dwadzieścia dwa lata. — Ciągle jeszcze nie pojmując, zapytałam: — „Czym zawiniła?” — Masza spojrzęła na mnie spłoszonym wzrokiem i zawaławszy się trochę, wyrecytowała: — „Dunia dostała najwyższy wymiar kary”. — Tym zamknęła historię Duni w turmie na dwadzieścia pięć lat.

Masza, wyluskawszy się już z paryskiej kreacji, tak samo jak wszystkie, gotowała się we wrzącym powietrzu. Obok niej dyssały bohomołki, parując obyczajnie w swoich łachmanach. Ich śniade płaskie

twarze polerował pot, gdy pódkuliwszy pod siebie nogi, żuły chleb albo modliły się ruchem sino-czarnych warg. Uchylały tylko szparki powiek, kiedy Dunia wykrzykując: — „ach, było, było—śmierdzą mi tu gnojem” — zrzuciła je z nar na dół jak tóbołki. Trzeba jej było więcej miejsca i więcej powietrza dla siebie. Chciała śpiewać. Głos wymierzony na przestrzeń stepu, zderzając się ze ścianami celi, zalewał uszy ogłuszającym strumieniem. „Słońce wschodzi i zachodzi — w mojej turmie wieczna noc...”

Od tego śpiewu powietrze w celi zaczynało wibrować. Nic już nie zatrzymywało swojego kształtu. Z plątaniny ciał ledwie można było wyzwolić poszarzałą twarz Haliny. Wprędce jednak zostawał tylko zarys jej bladych ust, układających z uporem inteligentne zdania. Osobne oczy i nosy, głowy nie osadzone na szyjach, ramiona nie przytwierdzone do barek — miały zamazany kontur maligny. Na błąkitnych smugach wybiły się emalia źrenice Jadwigi, wciśniętej w kąt celi.

Wtedy Halina krzyknęła: — „Zamilcz!”. Zdumienie uporządkowało chaos. Dunia przerwała śpiew i zmilczała Halinie. Słychać tylko było jej dźwięczenie. Czar nawiedzony jakby przestał działać. Kilka kobiet odważyło się: — „Tak z nią trzeba!”

Tej nocy, leżąc obok Haliny i mając jak zwykle przy twarzy nigdy nie zdejmowane z nóg walonki Marfy, przebudziłam się o niewiadomej godzinie. Mała żarówka nad drzwiami napełniała celę brunatnym światłem. Ciała leżących przypominały rozkopisko rudej ziemi. — „Halino — szepnęłam — Halino!” — Nie przebudziła się, jej niespokojne serce biło przy moim ramieniu. Musiałam moje złe myśli snuć dalej sama. Były mroczne, oczadziałe zaduchem. Od czasu do czasu podnosiło się czyjeś ramię i opadało z powrotem, zadając komuś cios. Krótki krzyk bólu nie zapobiegał już niczemu. Sen tutaj nie był przecież niczym innym jak dogorywaniem.

Nagle rozległ się głos Duni. Zabrzmiał jak pasterski pokrzyk. Od razu też, zaniechawszy konania, obudziły się śpiące. Chórem i w pojedynkę alarmowano: — „Dunia idzie!” — W istocie zsunęła się z nary i szła, tratując. Kto zdążył umknąć jej stopom, prawie chichotał ze szczęścia. Dunia szła prosto do swojego celu — do paraszy. Szła mściwie, dostrzegając te, które chciała unicestwić. Rozjuszona i wspaniała zawisła na moment nade mną swoją stopą, nie dla mnie jednak przerna-

czoną. Mierzyła w Halinę. — „Ach, ty!” — warknęła. Halina zakwiliła przeciągle i zwinęła się w kłębek. Dunia miała już uderzyć drugą stopą, ale opasałam ją obiema rękami i postawiłam na pustym, uprzętniętym miejscu.

Ezy Haliny spływały po moim ramieniu. Inne strątowane piakały głośniejsze, nie znajdując w swoich sercach sprzeciwu. Wkrótce jednak znowu ciągnął się sen chrapliwie przez gęste powietrze. — „Halino! — szepnęłam — Halino!” — ale i jej sen już skleił powieki zasychającymi łzami. Dźwignęłam głowę, aby to, co pełzało w moich myślach, mogło nabrać wartości.



W celi (Rys. A. Werner)

Ale w każdej pozycji tak samo pełzał strach i tak samo dawał wstręt. Po twarzach śpiących łaziły pluskwy, a ciała zdawały się puchnąć jak w rozkładzie. Z uporem podnosiłam coraz głowę, która opadała, chwiała się, na sen, na śmierć... Nie chciałam umrzeć, choć zapach życia był tu kłiwy jak woń padliny. Ciężki obrót ciała Duni na narze nade mną — wydał mi się prawie ratunkiem. — „Dunia — nie wiem, czy powiedziałam to, czy tylko pomyślałam — Dunia, nie śpisz? — Odezwała się z góry cichutko, jakby szanując sen innych: — „Nie śpię, nie mogę spać. Myślę o moim dzieciątku”. — Nie odpowiedziałam, bardziej niż rykiem potwora przerażona tą czułością. Ale Dunia szeptała dalej: — „Jutro, zobaczysz, co będzie jutro...” — I to brzmiało kłiwie, choć niosło groźną zapowiedź.

Już z rana ostrzegłam Halinę, która tym razem nie powiedziała: „dam sobie z nią radę”. Szukała raczej sojuszniczek w Maszy i Rozie. Masza, od wczoraj brygada dierka celi, wymówiła się swoją oficjalną funkcją. A Roza już bezopornie poddawała się przemocy. Na razie jednak nie działała się nic. Dunia przez wiele godzin siedziała na swojej narze ściszonej i smutnej. Nie odczuwając jej obecności, kobiety pofol-

gowały sobie. Wybuchły drobne swary i nie Dunia, ale ktoś inny śpiewał długą pieśń o prokuraturze, który oskarżał swoich rodziców, a potem, dręczony wyrzutami sumienia, zabił się na ich grobie. I wtedy właśnie Dunia zeskokczyła z nar, rozdając razy i kopnięcia. — „Dunia — usiłowałam ją poskromić brygadierka Masza — Dunia, bądźże człowiekiem!” — Dunia zatrzymała się przy drzwiach i parsknęła: — „Ty, generalsza, ty mi nie nakazuj! Pódeptane depcę, a mnie — nikt, nikt!” — Masza dała nura w tłok, ale pięści Duni nie jej groziły.

Uderzyły w blachę drzwi. Potem bluznęła w otwarty wziernik: — „Do naczalnika!” — Klapnęło lekko okrągłe okienko. W celi zrobiła się cisza duszna od strachu. Masza, odpowiedzialna za spokój i porządek, staniała się blada. Dziewczęca morderczyni nie potrafiła się opanować i pisnęła: — „To Polki zaczęły z Dunia!” — I zaraz spieniło się, że Polki, Polki! Spiewać jej zabroniły! Halina zerwała się z miejsca i zasłoniła Jadwigę, jak gdyby tej najcichszej z nas groziło niebezpieczeństwo. Skoczyłam i ja, ale pchnięta na ścianę, rozplaszczona na niej, miałam tylko czarny gniew na oczach.

Tymczasem Dunia, po kilku minutach spokojnego czekania, zaczęła znowu bić pięściami o drzwi. Chwyciła jakiś dziki rytm i blacha, odskoczywszy od drzewa, wydawała jazowe dźwięki. Przez wziernik wpadło kilka obelżywych wyrazów. Dunia załkała krótko: — „O dzieciątko chcę się dowiedzieć!” — Okrągłe usta wziernika plugawiły się raz po raz.

Strach z miejsca przeobrażony we współczucie zatrzymał jednak swoje brzmienie. Tylko, że już nie nas obwiniano, ale kogoś bezimiennego. Kiedy jednak

Dunia, krwawiąc pięści, wyrwała ze ściśniętego gardła strzępy krzyku: — „Stalin, Stalin! gdzie twoja konstytucja!” — wrzask kobiet urwał się nagle. Każda dopadła swojego miejsca i zastygła jak owad udający trupa. Masza zbielełymi wargami mamrotała: — „nawiedzona, nawiedzona” — i zatkała rękami uszy, żeby nie słyszeć. Dunia, szczerząc zęby, obwoływała jednak ciągle to imię i gryzła pokrwawione pięści.

To tylko mogłam zobaczyć w okamgnieniu, że Dunia nagle jakby wpadła w czeluść otwartych drzwi.

Mijały godziny i kiedy już rozdano wrzątek, który celę napelniał parą, otworzyły się drzwi. Wepchnięto przez nie coś ogromnego i bezwładnego, coś, co zwaliło się ciężko jak kłoda, przygniatając stędzące na podłodze. I Halinę, Halinę także. Lecz nawet te, które poparzyły się wrznięciem, przemilczały ból. Jakże tu leżała ta wielka i potężna Dunia, jakże płakała rzewnym, kobiecym szlochaniem! Halina, wydobywszy się spod Duni, nachyliła się nad nią. — „Dunia, biedna Dunia, co z tobą zrobili?”

Dunia odsioniła twarz spuchniętą i fioletową. Zranione wargi składały ułamkowe wyrazy: — „Zbili — mieli prawo — do dzieciątka nie mieli — a zabili umyślnie — w dzieciomnie — i już dla mnie nic — tylko to moje — dwadzieścia pięć lat — w turmie”. — Halina pogładziła ją po nastroszonych lwich włosach, po opuchłych policzkach.

I wtedy — zobaczyłam, jak mała ręka Haliny znalazła się w łapczywym chwycie ręki Duni. Chciałam krzyknąć: — „ratujcie!” — ale stało się coś jeszcze straszniejszego — Dunia podniosła rękę Haliny do ust.

*Herminia Naglerowa*

## Zardzewiałe więzień kraty...

Zardzewiałe więzień kraty,  
na podwórzu wydeptany krąg  
i tylko dotyk rozpalonych rąk,  
słowa — pamiątki, wspomnienia — szmaty.

Obdarci ze złudzeń i snów,  
opici kłamstwa goryczą,  
słyszymy, jak z dala krzyczą  
z rozdartych ran, z płonących głów.

A my, samotni, bez głosu drżymy,  
wtłoczeni w dziejów narosłą pleśń.  
Milczymy, gdy nas zalewa pieśń  
burlacka, wyrosła wśród zimy:

O, kraju kozaczej złudy,  
Tatiany i lermontowskich mgieł,  
w pyle kazamat złoty hełm,  
drzwi okute i NKWD.

Jakaż zapłacić trzeba cenę  
za noce spokojne bez snów,  
czy pod nogi piramidę głów,  
czy powieki wyrwać ceniom?

Jakżeż nam jeszcze przyjdzie żyć  
w goryczy kradzionych plew,  
i dnie tępić o pnie drzew  
i dłońmi twarze kryć.

Spójrz, od Dniepru do Beringa,  
w bezsile tam zastygamy.  
Za kolczaste parawany  
ból ostry idzie jak klinga.

Kraju wielkiej tajemnicy,  
lodowatą zwieszam dłoń,  
i w mroczną patrząc toń  
słyszę —

ktos długo krzyczy....

*Ave*

## W obronie suwerenności

Dnia 23 maja br. odbyło się w świetlicy Czerwonego Krzyża przy ul. Corso Umberto 303 w Rzymie ogólne zebranie obywatelskie, zwołane przez Związek Ziem Wschodnich — Oddział „Włochy”.

Na zebranie to przybyła licznie polska kolonia cywilna oraz wojskowi przebywający stale lub też chwilowo w Rzymie. Między innymi zauważono: Ambasadora R. P. Kazimierza Pappé, Ministra Stanisława Janikowskiego, Dowódcę 5 Kresowej Dywizji Piechoty Gen. bryg. Nikodema Sulika.

Jako pierwszy zabrał głos płk. dypl. Edward P., który wygłosił odczyt pt. „O walkach 2 Korpusu pod Bolonią”. Z kolei krótki referat o sytuacji w Polsce wygłosił żołnierz Armii Krajowej, który przedstawił wybranym całą groźną sytuację w Kraju. Po odczycie członka zarządu Związku Ziem Wschodnich — Oddział „Włochy”, Włodzimierza Szarnbachowskiego, o stanie sprawy polskiej na forum międzynarodowym w chwili obecnej i dyskusji, zebrani jednogłośnie przyjęli niżej podaną rezolucję:

Obywatele polscy, zebrani na zgromadzeniu publicznym, zwołanym przez Związek Ziem Wschodnich w Rzymie dnia 23 maja 1945 r. uchwalili jednogłośnie co następuje:

1) Jako obywatele państwa, które pierwsze chwyciło za broń przeciw przemocy i polityce siły totalitarnej dyktatury, wyrażamy radość z powodu zwycięstwa narodów sprzymierzonych. Armia Polska i cały naród przyczyniły się do tego zwycięstwa w mierze przekraczającej znacznie proporcję liczebną swych sił, położony w największym stopniu ze wszystkich narodów ofiary.

2) Nie poddaliśmy się przemocy wówczas, gdy dwóch napastników działając w zbrodniczym porozumieniu napadło na naszą ojczyznę ufającą w istniejące traktaty. Dziś, gdy jeden z nich leży powalony, przez wspólny wysiłek nasz i naszych sojuszników, u stóp zwycięskich demokracji zachodu, Ojczyzna nasza jest w dalszym ciągu wydana na łup drugiej, niemniej krwawej dyktatury, która, tak jak poprzednia,

dąży do zupełnej eksterminacji narodu polskiego, rozstrzelując, więząc, wygładzając i deportując miliony Polaków, rabując ich mienie i niszcząc skarby tysiącletniej cywilizacji polskiej, z tą tylko różnicą, że dokonuje się tego pod cyniczną maską „oswobodziciela”.

3) Protestujemy przeciw podszywaniu się pod hasła „demokracji” oraz arbitralnym i kłamliwym oskarżeniom o „reakcję”, „faszyzm”, „hitleryzm”, „zdradę”, którymi okupanci sowieccy usiłują motywować tępienie najlepszych i najżywoźniejszych sił narodu, oraz przeciwko oportunistycznemu powtarzaniu tego frazesu nawet przez naszych sojuszników, co gwałtom najeźdźców nadaje pozory słuszności, mimo całej wyjątkowej, niedwuznaczonej postawy Polski, zadającej kłam tym insynuacjom. Kto nie uznaje jednolitej postawy narodu polskiego, kto rości sobie prawa do robienia selekcji pośród narodu polskiego, ten krzywdzi fizycznie i moralnie nasz naród.

4) Uważamy, że uchwały konferencji krymskiej, usiłujące utrwalić na korzyść Rosji zbrodniczy układ Ribbentrop - Mołotow, oddając polskie ziemie wschodnie i całą Polskę w ręce obcego państwa, w niewolę pokrytą kłamliwymi formułami, urągają zasadom moralności i honoru i domagamy się od sprzymierzeńców, którym zaufaliśmy, nawrócenia do tych zasad i dotrzymania ich w każdym wypadku, gdyż inaczej wszelkie zasady przestają być zasadami. Apelujemy do wszystkich, którzy wyznają jakiegokolwiek zasady moralne, szczególnie zaś odwołujemy się do zasad moralności chrześcijańskiej. Apelujemy do poczucia prawdy, słuszności i honoru rycerskich narodów i towarzyszy broni, aby dotrzyмали w pełni przyjętych przez siebie zobowiązań traktatowych tak samo, jak ich dotrzymała Polska.

5) Oświadczamy, że wierni Panu Prezydentowi R. P. Władysławowi Raczkiewiczowi, Rządowi R. P. z jego premierem Tomaszem Arciszewskim na czele, i naszym ideałom, nie ustaniemy w walce o wolność i niepodległość Polski.

6) Wyrażamy najserdeczniejsze uczucia dla braci, którzy zwolnieni z niemieckiej niewoli są dziś obok nas jedynymi wolnymi Polakami na świecie, jedyną reprezentacją narodu i jego woli.

Dołączamy swój głos do jednolitego protestu całego cywilizowanego świata przeciwko aresztowaniu 16 polskich przywódców w Kraju podkreślając, że fakt ten jest tylko fragmentem powodzi gwałtów zalewających Polskę przez cały czas sowieckiej okupacji, zarówno w jej pierwszym jak i drugim okresie.

Ządamy wycofania wojsk sowieckich z terenów polskich.

Ządamy wycofania sowieckiej policji politycznej z całego terytorium polskiego i oddania administracji w Kraju w ręce prawowitego rządu polskiego w Londynie.

Wierzmy, że sprawa Polski, która jest kluczem sklepienia sprawiedliwego i trwałego pokoju na świecie, dzięki poczuciu sprawiedli-

wości narodów świata oraz wytrwałości siły ducha wykazanej przez nasz naród w walce, musi zwyciężyć, oddając naszemu narodowi jego ziemię i wolność, oddając równocześnie ziemię i wolność wszystkim narodom Międzyczyna od Estonii przez Ukrainę i Węgry do wybrzeży Adriatyku.

Wyrażamy pewność, że wszystkie te narody, podobnie jak nasz, w tej ciężkiej walce wytrwają i zwycięstwo, pełną wolność i prawdziwą niepodległość osiągną.

Zebrańnię zamieniło się w wielką manifestację jedności społeczeństwa polskiego w Rzymie i manifestację uczuć wzajemnych ludności cywilnej i wojska. Szczególnie wielkie wrażenie na zebranych wywarły proste słowa Dowódcy Dywizji Kresowej i żołnierza Armii Krajowej, obrazujące tę samą walkę i jednolitą postawę Narodu Polskiego zarówno w Kraju jak na zesłaniu w Syberii.

## Czerwony faszyzm w Italii

Przysłowie włoskie powiada: „*Il buco dice cornuto all'asino*”. Znaczy to, iż wół wytyka osła, jakoby ten miał za duże rogi. Gdy z moskiewskich mikrofonów sączy się piana wściekłości i oburzenia na faszystów i reakcjonistów, przypominam sobie mądre przysłowie włoskie o oslich rogach i — wyznać muszę — jestem pełen podziwu dla sowieckiej propagandy. To są bardzo dzielni i odważni ludzie. Nie przeraża ich żadne kłamstwo.

Nie chodzi tu o przymiotniki miotane pod adresem urojonej i prawdziwej, powiem: rasowej reakcji, lecz o następujące zwykle po nich pienia pochwalne na cześć „prawdziwej” i „szczerze demokratycznej” wolności, jaką się cieszą sowieccy obywatele. Biedna demokracjo! Nieszczęsna wolności — zawołałby poeta. Na co ci też przyszło?!... Ponieważ nie jestem poetą, a demokratycznymi swobodami sowieckimi cieszyłem się bardzo prozaicznie, nie boleję poetycznie i nie dziwię się, że dziwi się pan Tito, iż przyrównano go do Hitlera, Mussoliniego i Japończyków. Pan Tito dziwić się musi, bo jako członek egzekutywy III Międzynarodówki należy do tych odważnych ludzi, których nie przeraża żadne kłamstwo, a są zdumieni,

gdy ktoś dojrzy na głowie wołu rogi, o których posiadanie posiadali jedynie osła. Czymżeż bowiem jest pan Josip Tito, jak nie owym rogatym (a jakie rasowe rogi!) wołem, udalą namiastką Hitlera w Jugosławii?

Takich małych dyktatorów, lub kandydatów na nich, ma dzisiaj każdy prawie kraj europejski. Wprawdzie III Międzynarodówka została rozwiązana, lecz na jej miejsce stworzono pod egidą Moskwy komitety — pożałuj Boże — wyzwolenia narodowego, które w niektórych krajach stały się już synonimem partii komunistycznych i są gotowe do objęcia roli WKP(b) w poszczególnych państwach Europy. Na ich czele stoją owi dyktatorzy in re i in spe, członkowie formalnie nieistniejącego Centralnego Komitetu Wykonawczego III Międzynarodówki, jak Thorrès we Francji, czy Togliatti w Italii. Ten ostatni — jak już wielokrotnie stwierdzała prasa włoska — pozuje na sukcesora Mussoliniego, rezerwując dla P.C.I. (Partito Comunista Italiano) w sposób zupełnie niedwuznaczny rolę P.N.F. (Partito Nazionale Fascista). Nie bawmy się jednak w domysły, coby było, gdyby było, a przejdźmy do zebrania faktów, które potwierdziłyby nasze przypuszczenia (i

obawy) oraz wykazały niezbicie, że rogów nie jest pozbawiony wół, jakkolwiek twierdzi uporcezywie, że rogatym jest osioł.

Tygodnik salerniański „*L’Ora del Popolo*” opublikował następujący dokument zapraszając równocześnie dr Piotra Amendola do wytoczenia skargi sądowej, gdyby się okazało, że dokument nie jest autentyczny.

*Wysoki Komisarz do Spraw Czystki  
Delegat Prowincjonalny*

Salerno, 16.I.1945.

Do Pana G., sekretarza gminy w X.

*Szanowny Panie!*

Zawiadomiono mnie, że Pan od dłuższego czasu daje szereg dowodów wrogiego ustosunkowania się do mojej partii i do miejscowej Izby Pracy, posuwając się do form wyrażonego prześladowania moich towarzyszy, ludzi we wszech miar uczciwych, prostych, pracowitych i spokojnych.

Ponieważ fakty, o których mi doniesiono, traktuję jako dostateczne powody do poddania Pana czystce, zapewniam Pana w sposób najbardziej kategoriyczny, że tej Pan nie uniknie w wypadku, gdyby się te fakty powtórzyły. Człowiek ostrzeżony jest na pół uratowany.

Tym, który ma przyjemność ostrzec Pana, jest Piotr Amendola, syn Jana Amendola, sekretarz prowincjonalny dla spraw czystki.

Od Pana teraz zależy w zupełności, abym nie musiał ponawiać wizyty w X, która mogłaby Pana kosztować bardzo drogo, bo utratę chleba dla siebie i swej rodziny.

*Piotr Amendola*

Gwoli prawdy stwierdzić należy, że tow. Amendola został dnia 23.II.br. zwolniony z zajmowanego stanowiska, nie wiemy jednak, ile podobnych listów, czy pogróżek ustnych skierowano ze strony Komisariatu Czystki, obsadzonego wydatnie przez komunistów, do spokojnych i wystraszonych obywateli włoskich, przywykłych do drżenia przed dyktaturą faszystowską. Czy każdy miał odwagę opublikować takie listy? Śmiem wątpić.

Mniej więcej w połowie marca spotkałem znajomego urzędnika jednego z ministerstw włoskich. Był przygnębiony. Ścisłym głosem opowiedział mi, że przyszli doń komuniści i namawiali do wstąpienia do partii. Obiecywali awans i podwyżkę poborów. Wspominali mimochodem, że nastąpi nasilenie czystki. Tak samo „zachęcali” innych urzędników.

— Co mam robić? — radził się mnie biedak.

— Dać usztywnić sobie kręgosłup — odpowiedziałem.

— Dobrze panu mówić! A żona, a dzieci?... Przecież oni mnie pozbawiają pracy!

Skoro urzędnik ministerstwa nie ma odwagi reagować na szantaż, podziwiać należy skromnego sekretarza gminy, który ośmielił się opublikować otrzymany list z pogrózkami.

Zastraszenie jest bardzo skutecznym środkiem terroru. Wypróbowanym. Nie muszę dodawać, gdzie. Partia komunistyczna dąży do zastraszenia społeczeństwa włoskiego za pomocą prasy i aktów gwałtu, dokonywanych w szeregu miejscowości na przeciwnikach politycznych. Zastraszenie, jakkolwiek nie może spopularyzować komunistów, pomnaża ich autorytet w sensie materialnym, wzmacnia znaczenie partii. Dlatego P.C.I. nie gardzi nim; miejsce faszyzmu czarnego zajmuje faszyzm czerwony, nie liczący się z niczym, dynamiczny, dążący do celu per fas et nefas, byle prędzej, byle możliwie silnie uchwycić w swe ręce... władzę.

Prasa komunistyczna (bardzo liczna) nie przestaje powtarzać ulubionego frazesu o udziale ludu w budowie „prawdziwie demokratycznej” Italii. Naród musi uczestniczyć w rządach, precz z monarchią, precz z reakcją. Przez naród rozumie się lud, a przez lud członków partii komunistycznej, oraz — do czasu — socjalistycznej. Kto nie z nami, ten przeciw nam, ten jest faszystą.

„Antykomunizm i faszyzm, albo filofaszyzm są bezwątpienia, zarówno u nas, jak i w innych krajach Europy, określeniami jednobrzmiącymi. Być antykomunistą oznacza być faszystą już

dzisiaj, lub być skazanym nieuchronnie na stanie się nim" — pisał dosłownie organ partii komunistycznej „L'Unità” w numerze z 14.III br.

Monopol na antyfaszyzm, a co za tym idzie, na demokrację i patriotyzm ma jedynie partia komunistyczna. Tylko ona kocha ojczyznę, tylko ona cierpiała pod jarzmem faszyzmu i cierpi nadal pod rządami „reakcji”. Nawet klepsydra posmiertna służy do propagowania tych obywatelskich cnót. Czytałem „na własne oczy” klepsydrę tej treści.

„S. p. Giovanni Scella, członek Lewicy Chrześcijańskiej, byłej partii Cattolici Comunisti, od 16 roku życia czynny bojownik o prawa robotnicze, zmarł dnia... w wyniku chorób spowodowanych 22-letnim jarzmem faszystowskim. Pogrzeb odbędzie się...”.

Inny przykład. Gdy w czasie manifestacji po ucieczce Roatty (marzec 1945) zginął od własnej bomby osobnik, którego zidentyfikowano jako Józefa Lasagna Mancini, „L'Unità” nie omieszkała napisać, iż był on „aktywistą partii komunistycznej od chwili istnienia ruchu podziemnego”. Ofiarę własnej nieostrożności okryto czerwonym sztandarem i niesiono na Viminalis, by widokiem zabitego w walce o „demokrację” bojownika poprzeć swe żądania ustąpienia... gabinetu Bonomi'ego. Nazajutrz jednak Józef Lasagna Mancini „okazał się być” Piotrem Gualdani, synem Jana, lat 35. Nieporozumienie wynikło na skutek faktu, że w kieszeni zabitego znaleziono dwie legitymacje, jedną wystawioną na nazwisko Gualdani, drugą zaś należąca do Lasagna Mancini. Józef Lasagna Mancini, szwagier zabitego, przebywał zaś w chwili manifestacji, a na pewno też „od chwili istnienia ruchu podziemnego”... w obozie jeńców wojennych w Afryce. Sprostowanie to zamieściły wszystkie dzienniki, za wyjątkiem „L'Unità”. Przeczytałem tego dnia cały numer, nawet rubrykę ogłoszeń.

Podobny wypadek niefortunnego przywłaszczenia sobie „bohatera” przez „prawdziwie demokratyczne” elementy włoskiej społeczności miał miejsce w styczniu br. Chodziło o znanego „gar-

busa” l'Albani, herszta zorganizowanej bandy pospolitych rzezimieszków, grasującej w dzielnicy rzymskiej Quarticciolo. L'Albani w czasie okupacji nazistowskiej dokonał zamachu na niemiecki samochód wojskowy, powodując śmierć kilkunastu żołnierzy. Zdobył więc aureolę sławy jako nieustraszony partyzant, lecz później zapragnął innego rodzaju emocji. Został wreszcie zabity w obławie policyjnej, a jego banda rozproszona.

Organy „niektórych partii”, do których „garbus” należał — pisał dziennik katolicki „Il Quotidiano” — usiłowały brać w obronę, a nawet rehabilitować, jeśliby to było możliwe, postać „patrioty komunisty”, twierdząc nawet, że nie był on hersztem bandy, że działał pod osłoną ciemnych sił, że miał podziwu godną odwagę i że stał się ofiarą ni mniej ni więcej, jak swoich rozkazodawców”.

Jeśli rozkazodawcami były zarządy „niektórych partii”, których członkiem był „garbus”, należy istotnie ubolewać nad losem nieustraszonego „patrioty”.

Przytoczone przykłady są szczyptą zaledwie opilek, jakie sypią się spod pilnika komunistycznej propagandy, szlifującej umysły współobywateli według wypróbowanych gdzie indziej wzorów.

W dziele zastraszenia społeczeństwa nie miała rolę odgrywają akty gwałtu. Nie będziemy ich tu opisywać szeroko, ani wyliczać. Zbrakłoby papieru.

Niemniej jednak, w świetle niektórych drobnych notatek prasowych pewne sprawy bywają co najmniej dziwne. Dla przykładu zacytuje urywek notatki o rozbrojeniu pewnej bandy.

„Znaleziono bardzo liczną broń i skonfiskowano granaty ręczne, puszki z benzyną, karabiny maszynowe, maski p-gaz., opony samochodowe, a między innymi także aparat radiowy odbiorczy i nadawczy” (*Il Quotidiano*, 27.XII.44).

Wszystko rozumiem, lecz do czego służyły bandytom maski p-gaz., lub aparat nadawczy, pojąć nie mogę. A może to tylko zwykły przypadek? Może, lecz głowy za to nie dam.

Inna notatka (*Il Quotidiano*, z 22.III.b.r.) ma tytuł: „Istnieją uzbrojone grupy fałszywych partyzantów...”

Według oświadczenia dyrektora Urzędu Prasowego Rady Ministrów mecena-  
sa Rossini:

„Zasadniczym problemem w prowincji Reggio, jak również w innych prowincjach, jest sprawa rozbrojenia pewnych grup osobników, które skorzystały z rozsyпки wojska w następstwie zaprzestania działań wojennych (kompromis Badoglio), by zaopatrzyć się w broń, nawet ciężką i które w takich ośrodkach, jak w Caulonii, uzurpują sobie miano partyzantów, mimo, że wcale nie brały udziału w walce o wyzwolenie”.

Zupełnie jak w Grecji, onego czasu. By nie było wątpliwości, p. Rossini stwierdził ponadto, że grupy te „wniknęły w głąb różnych partii politycznych”, a sytuacja jest o tyle ciężka, że „różne partie” prowadzą między sobą walki.

W wyniku tych walk został zabity w miejscowości Gronchi (prowincja Reggio Calabria) proboszcz Amato, a w Roccaforte del Greco młody partyzant, członek partii demokratyczno-chrześcijańskiej. „*Risorgimento Liberale*” i „*Popolo*” pisały, że podobne akty gwałtu zawdzięczać należy komunistom, którzy „wznowili instytucję bojówek” (*squadrisimo*), tym razem czerwonych, które „terroryzują”.

Te akty gwałtu nie mają na celu porachunków osobistych jedynie. Te są mało ważne. Właściwym ich zadaniem jest zastraszenie. Że tak jest, świadczą mogą wznoszone na placach miast

włoskich stopy, na których pali się ciała pomordowanych faszystów, oraz wystawianie trupów na widok publiczny przy równoczesnym barbarzyńskim ich bezczeszczeniu.

„*Giornale del Mattino*” doniósł w numerze z 12.V.br., że w miejscowości Francavilla Fontana w czasie manifestacji z okazji dnia zwycięstwa doszło do sprzeczki, wreszcie do wymiany strzałów między faszystami, a komunistami. Spotkanie zakończyło się wynikiem remisowym 2:2. Trupy faszystów, a ściślej mówiąc ciała jednego zabitego i jednego ciężko rannego wrzucano na dwa odrębne zbudowane naprędce stopy i spalono. Z punktu widzenia higieny ten sposób „grzebania” zwłok wydaje mi się stosowny, nie mogę jednak nie stwierdzić, że: 1) w XX wieku istnieją do tego celu specjalne krematoria, 2) palenie na stosie żywcem, choćby nawet ciężko rannych, przeciwników politycznych cuchnie ponurym średniowieczem.

Spaliłem na stosie szereg wycinków gazetowych dotyczących bezprawia różnych brygad komunistycznych im. Garibaldi (*povero* Garibaldi!) w Italii północnej. Niech się tym martwi Bonomi! Od tego jest premierem włoskim. Jeździ tam biedak, łagodzi, uspokaja, lecz jak dotychczas kończy się na konferencjach wstępnych, a *partigiani del Nord* broni nie chcą oddać i wątpię, czy oddadzą. „Elas” też nie oddał dobrowolnie...

Sylwester Mora

## Maria Stella Petronilla Marchesa di Modigliana

Co to za dama o tak wdzięcznych, intrygujących imionach, a co ważniejsze, dlaczego o niej pisać? Po pierwsze dlatego, że Modigliana jest bardzo interesującym miasteczkiem, zasługującym na obszerniejszą nawet wzmiankę, a po wtóre dlatego, że historia z damą tą związana kryje w sobie nieco pikanterii i posiada odrobinę posmaku „*chronique scandaleuse*”.

Lecz do rzeczy. Ktokolwiek będziesz w modigliańskiej stronie, a masz jakie takie zainteresowanie dla spraw minionych i ich nieraz nader barwnego kolorytu, przekrocz, wędrowcze, wąski mostek, dzielący Modigliana Vecchia vulgo Castello od Borgo, nowszej części miasta. Idąc prosto przed siebie, stale pod górę, pośród wąskich, średniowiecznych uliczek, i mijając po prawej stronie kościół

św. Dominika, znajdziesz się po chwili na Piazza Pretorio w obliczu dwu dobrze zakonserwowanych budynków, które były świadkami ciekawego wydarzenia.

Gmach pod nr. 6, to Palazzo Borghi, dawna rezydencja hrabiów Guido, feudalnych władców tej ziemi po schyłku w. XIV. Nawiasem mówiąc w pałacu tym ujrzał światło dzienne jeden z synów Fryderyka I Barbarossa, Konrad (1165 r.), kiedy to jego cesarscy rodzice bawili przejazdem w ówczesnej Mutiliana. W sześćset lat później ten sam pałac miał zasłynąć narodzinami innego królewskiego dziecka, tym razem potomka Burbonów.

a szczęśliwymi matkami były pani Chiappini oraz przyjezdna Francuska.

W kilka dni później signor Chiappini zgłosił w Urzędzie parafialnym narodziny córki, której nadano imiona Maria Stella Petronilla. Jednocześnie w miasteczku poczęły szerzyć się słuchy — może skutkiem niedyskrecji hrabiny Borghi — jakoby dziewczynka była córką francuskiej pary, jakoby państwu Chiappini urodził się właściwie syn, wreszcie jakoby dzieci zostały zamienione. Faktem jest, że francuska para znikła wraz z dzieckiem natychmiast z Modigliany, a to dama w niewiadomym kierunku, zaś grand seigneur udał się do Brisighelli, gdzie szukał



*Faenza. Plac Wiktora Emanuela.*

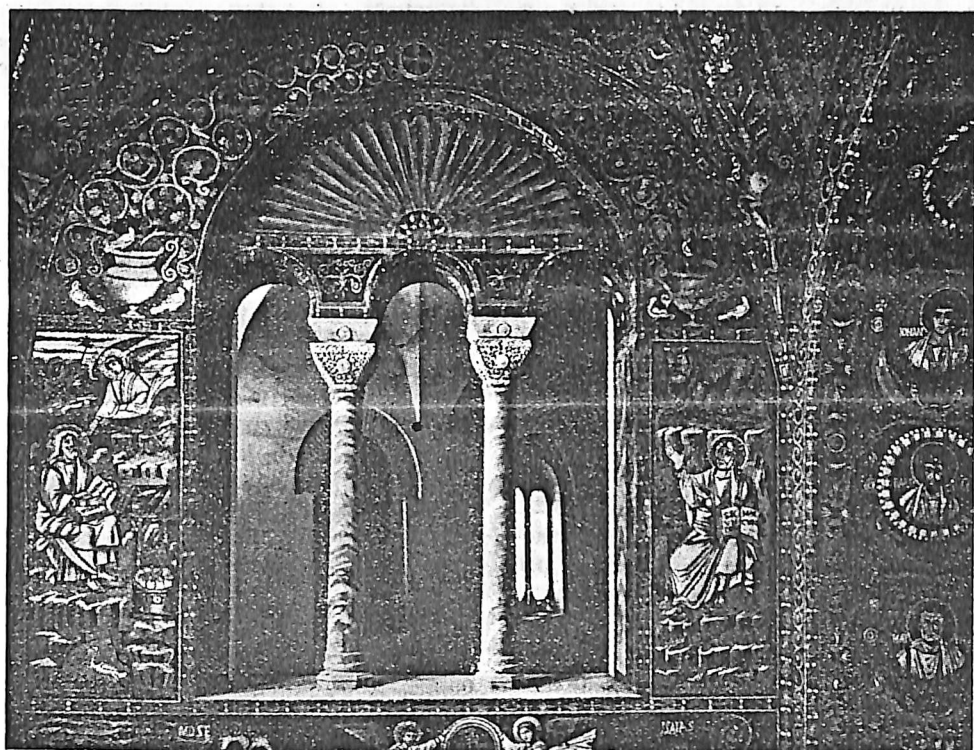
Gmach przeciwny, pod nr. 1, to Palazzo Pretorio, mieszczący do niedawna sąd i więzienie. Do historii przeszedł gmach ten jako miejsce narodzin przyszłego króla Francji, Ludwika Filipa.

A było to tak. Na wiosnę 1773 r. zjechała do Modigliany para Francuzów i zamieszkała u hrabiny Borghi-Biancoli, rezydującej wówczas w dawnym Palazzo Guidi. Cudzoziemcy zwracali na siebie uwagę wytwornymi manierami oraz stanem francuskiej damy, który określać się zwykło jako odmienny od normalnego, lub jako poważny. Jak głosi fama, Francuzi nawiązali kontakt z imię panem Lorenzo Chiappini, mieszkającym na przeciw w Palazzo Pretorio z racji zajmowanego przez siebie stanowiska naczelnika miejscowego więzienia i miejscowej policji. W nocy z dnia 16 na 7 kwietnia 1773 r. przyszło na świat dwoje dzieci, dziewczynka i chłopczyk,

schronienia w tamtejszym klasztorze Bernardynów. Przechwycony przez papieskich szwajcarów (Brisighella należała wówczas do Państwa Kościelnego, Modigliana zaś do w. ks. Toskany pod władzą Habsburgów) i stawiony przed kardynałem-legatą w Rawennie, zwolniony przez kościelnego dostojnika, opuścił Italię.

W kilka lat potem przeniesiono Chiappiniego na inne stanowisko do Florencji. Były profesor z Modigliany pędził tam żywot wyśtawny, niemal luksusowy, a córka jego otrzymywała wychowanie i wykształcenie wielkiej damy. Nic też dziwnego, że słynąca z piękności siedemnastoletnia Maria Stella znalazła łatwo męża w osobie lorda Newborough, który młodą swą żonę wprowadził na królewski dwór angielski. Tam zastąpiła Maria Stella pod przezwiskiem „Marchesa di Modigliana”.

Kiedy jako wdowa po mylordzie z 42000 lirów rocznej renty wyszła ponownie za mąż



Ravenna, Bazylika S. Vitale. Jedna z górnych łóż.

za rosyjskiego barona Sternberga, zaczęła na odmianę na petersburskim dworze roztaćać swe wdzięki i błyszczeć inteligencją i dowcipem.

W r. 1824 Chiappini poważnie zaniemógł i oto Maria Stella Petronilla zjeżdża do łóża umierającego ojca. W ostatniej z nią rozmowie pada z ust Chiappiniego wyraz „baratto” — zamiana: wyznaje, że za grube pieniądze zgodził się przed laty odstąpić swego nowonarodzonego syna francuskiej, dziś już nieżyjącej parze, przyjmując ich córkę za swoją. W tydzień po śmierci Chiappiniego dochodzi do rąk baronowej Sternberg 10 woła lady Newborough list przybranego ojca tej samej treści, co jego przedśmiertne wyznania. W ten sposób potwierdziły się słuchy, jakie krążyć zaczęły w r. 1773 w romańsko-toskańskim miasteczku Modigliana.

Teraz pragnie Maria Stella za wszelką cenę ustalić prawdę. Przemierza całą Francję i Italię, dowiadyuje się w Modiglianie, że francuską parę tytułowano hrabiostwem Joinville. Ustaliwszy, że taki przydomek przysługiwał ks. de Chartres, późniejszemu ks. d'Orleans, szuka sprawiedliwości we Francji. Zabiegi jej nie dają żadnego wyniku. Wobec tego zwraca się burbońska latorośl do biskupa Faenzy, który wyrokiem z dnia 29 maja 1829 r.

„mając jedynie Boga i sprawiedliwość na względzie uznaje Marię Stellę za córkę hrabiostwa Joinville i zarządza odpowiednią poprawkę w jej akcie urodzenia.

Zdawałoby się, że markiza de Modigliana dopięła swego. Tymczasem jednak podniósł się tumult w Europie. Biskup naraził się swym nieopatrzonym wyrokiem papieżowi, proboszcz parafii S. Stefano otrzymał od królewskiego wikariusza zakaz jakichkolwiek poprawek w księgach metrykalnych, a odosobne ich karty całkiem po prostu znikły. Ze swej strony książęta orleańscy nie szczędzili swej kuzynce przykrości. By ująć z rąk zbiorów nasłanych przez Ludwika Filipa, chroni się hrabianka Joinville pod opiekę Anglii.

Historycy rozmaitego byli zdania co do autentyczności powyższej historii. Niemniej ustalono, że „quel famoso baratto di Modigliana” opiera się na historycznej prawdzie i że na tronie Francji zasiadł w 1830 r. pod imieniem „mieszkańskiego króla” Ludwika Filipa nie syn Filipa Egalite' hrabiego de Joinville etc. etc., właściwego ojca Marii Stelli, ale syn Chiappiniego, profosa w służbie Serenissimi Magni Ducis Etruriae.

W ten sposób miasteczku Modigliana przypada zaszczyt ten w udziale, że tron Francji posiadał jeden z jego obywateli, urodzony w

Palazzo Pretorio, gdzie resztki zniszczonych herbów dawnych miejscowych podestów świadczą o chlubnej przeszłości starożytnego Castello. Do niedawna w tym palazzo, odpowiednio adaptowanym, gnieździły się tu-

my uchodźców włoskich, czekających z utęsknieniem chwili, kiedy przeminie nareszcie „paura”, i będą mogli powrócić w rodzinne progi.

Wiktor Szach

## Sanatorium polskie w Libanie

W drodze do Sanatorium mimowoli wracają przed oczy obrazy niedobre. Fahlawi. Pierwszy etap. Na rozwalonym piasku roją się miby mrowisko nędzarze w łachmanach, dzieci wychudłe, szkarłatne. Żółte namioty szpitalne puchną od nadmiaru chorych. Twarze trupio mizerne, zapadłe oczodoły, piszczele wystające spod koców, skóra pcamarszczona, wiotka, lupstrzona plamami szkorbutu i pryszczami awitaminozy. W izbie przyjęć olbrzymia kolejka: zesłabli leżą na matach podłogi. Kerówód widm. Przeważnie młodzież — niełatki, zobojętniali na wszystko.

Malaria, tyfus, żółtaczką, biegunka i gruźlica, gruźlica, gruźlica jak drapieżny ptak nad tym kłębowiskiem ciał półnagich w upale, stłamszonych miedolą poprzedniego bytu na tamtym brzegu.

Tak było w 1942.

Właśnie gruźlica... Samochód pnie się po stokach Libanu. W dole, w głębi niezmierniej, miby szafircowa płachta jedwabna, przepojone blaskiem, zaległo morze, obramowane białą kryzą plaż. Wydaje się stąd, o kilometr ponad nim, że gdyby wyrwał się głaz ze stoku i puścił w tę otchłań pod nogami — zleci w zieloną dolinę, aż do dna, ominię szachownicę domków pod nogami, jak dziecięce klocki rozsypane na łące i ugrzęźnie w pianie przybrzeżnych fal.

Już 1150 metrów w górę! Miasteczko przyczepione do zbocza, jakby jaskółcze gniazda pod zwałiskiem granit. Jasne, wesołe wille piętrami wznoszą się jedna nad drugą, wśród bukietów czarnych pini i strzelistych cyprysów. Nazwa egzotyczna, arabska: Bham-Doun. Styl raczej francuski, szyldy i napisy — także.

Zaczyna padać śnieg.

Na uboczu — czteropiętrowe domy z mnóstwem balkonów. W nich mieści się Sanatorium Polskie dla chorych na płuca.

Naczelnym lekarzem, a równocześnie najmiłszy gospodarzem, zaznajamia przybyszów z całością. Oprowadza po licznych pomieszczeniach, przeznaczonych dla celów leczniczych, utylitarnych, jak również — ku wygodzie i urozmaiceniu życia pensjonariuszów.

Zakład ten jest sekcją jednego z Polskich Szpitali Wojennych. Powstał w czerwcu ubiegłego roku, w budynkach specjalnie na ten cel wynajętych ze względu na ich położenie. Rozwijał się stopniowo. Skupia chorych i zagrożonych ze wszystkich oddziałów APW. Obecnie już liczy się kilkadziesiąt łóżek, ale nie jest jeszcze przepełniony. Zachorzeń na płuca w suchym klimacie Środkowego Wschodu i zdrowych warunkach żołnierskiego życia jest znikomo mało. To są przeważnie pozostałości właśnie z tamtego brzegu, z Rosji.

Teraz zewsząd witają swego komendanta wesołe uśmiechy pacjentów i personelu. Lecą urywki rozmów i zapytania, nie mające nic wspólnego z medycyną.

W Sanatorium nie czuć obecności choroby. Walczy się z nią i usuwa się jej ślady. W walce tej pomaga przede wszystkim zdrowy, górski klimat, świeże powietrze przesycone ozonem i promieniami ultrafioletowymi. Tryb życia przestrzegany tutaj surowo, dieta i metody kuracji stosowane indywidualnie. Wreszcie — doraźne zabiegi, jak odma, przepalanie zrostów, terrakoplastyka. W tych wypadkach pacjenta odsyła się do pobliskiego angielskiego szpitala, a nawet do kliniki uniwersyteckiej w Jeruzolimie. Trzeba wszelkimi sposobami chorobę złapać za łeb w jej różnych przejawach i unieszkodliwić, zanim pacjent odjedzie do swojego oddziału. Gdyby zjawiała się znowu, pacjent powraca na ponowne leczenie.

Właściwie wszyscy chorzy przeznaczeni są na wyleczenie. Nie ma tutaj takiego stanu, który uznać należy za beznadziejny. Oczywiście, gruźlica jest bardzo uporczywa i nie daje się usunąć jakimś radykalnym zabiegiem, czy środkiem. Trzeba z nią walczyć długie miesiące, a nawet lata całe. To też walczymy i walczymy skutecznie. To jest nasz odcinek frontu — mówi komendant.

— No, dobrze — pytam — ale przecież jest pewien odsetek takich, o których się zwykle nie mówi, a którzy odchodzą nie do oddziałów, ale na zawsze.

Komendant uśmiecha się.

— Tutaj przybywają chorzy, dla których pozostaje jeszcze choćby nikła nadzieja wyleczenia. Tę nić wiążącą z życiem staramy się wzmocnić, dlatego może nie mamy właściwie wypadków śmierci. W ciągu dziesięciu miesięcy istnienia Sanatorium przy stanie — powiedzmy — stu chorych były tylko dwa zgony. A to już nie przekracza granic zwykłej śmiertelności. Upewniam pana, że nikomu od nas na tamten świat nie pilno.

Istotnie przekonuje o tym najlepiej wygląd kuracjuszków. Schodzimy właśnie do jadalni, która jest zarazem tymczasową świetlicą w braku obiecanej przez „War Relief Services”. Jest pora obiadu. Nad stołami widnieją rzędami twarze czerstwe, opalone na wietrze podczas wycieczek górskich, na śniegu, albo też na leżakach w czasie obowiązującego werandowania.

Sala rozbrzmiewa gwarem, wybuchają śmiechy. Krążą dowcipy i kopiąste talerze. Obiad jest smaczny, pożywny.

Gdyby nie powiedziano z góry, że ci weseli chłopcy w mundurach i piżamach — to są chorzy, sądziłbym raczej, że przebywam w domu wypoczynkowym dla żołnierzy unłopowiczów. Nawiązane dorywczo rozmowy utwierdzają jeszcze w tym mniemaniu. U wszystkich widać chęć do życia, ciekawość jutra.

Teraz już z trudem trzeba sobie uświadomić, że to są ludzie z Pahlawi. Że do tych młodych organizmów wdarła się choroba w czasie przymusowych wędrówek po głodowej Rosji w mroźnych Sybiru, w ezachtach Północy, z poddmuchem stepowych buranów. Ludzie wyrwani przemocą z własnej gleby, rzućeni brutalnie w bezmiar ponurego kraju, traktowani jak bydlę roboty, jak trzoda na rzeź — wraz z głodem, brudem, mądzą, zaduchem więzień — wchłonęli w swoje organizmy bakterie zabójczej gruźlicy. Teraz wracają stopniowo do zdrowia.

Wychodzimy na taras. Jest przeraźliwe zimno. Chmury, spowijając łańcuch Libanu, staczają się w dolinę burymi kłębami. Jaśnieje góra. Na popielatym błękitnie wyłania się powoli z białą krawędź grani, okryta śniegiem, a tak jaskrawo biała, że mrużą się oczy w blasku. Słońce zapala zbocza, świeci na załamaniach jak jutrzienka.

*Jerzy Waszczyński*

## „Jedna z najpiękniejszych ksiązek“

W kwietniowym numerze „Parady” Tadeusz Wittlin napisał recenzję o książce „Kresowa walczy w Italii”. Przynajmniej ją w całości:

„Dywizja „Zubrów” wydała ostatnio niezmiernie ciekawą pracę zbiorową pod redakcją Lucjana Paffa pt. „Kresowa walczy w Italii”. Książka ta, zawierająca szereg zebranych artykułów, reportaży, wierszy i fragmentów literackich, ukazuje czytelnikowi wysiłek zbrojny Kresowej Dywizji Piechoty i wkład jej do walki we Włoszech, jak i miłość jej żołnierzy do polskiego Lwowa i Wilna, do Polesia

i Wołynia, do Kresów polskich, o których prawdziwą wolność walczą w Apeninach.

Książkę otwiera przedmowa gen. Sulińskiego, który w krótkich słowach wyjaśnia zamiary wydawców i przeznaczenie ich wspólnej pracy.

„Kiedyś po wielu, wielu latach — pisze generał — może ktoś będzie szukał w tej książce prawdy o walkach żołnierza polskiego we Włoszech. Czy ją znajdzie? I tak, i nie! Tak, bo opisy fragmentów bitew są szczere, prawdziwe, uczciwe — przykłady męstwa, nawet bohaterstwa i

niezwykłego poświęcenia nie kłamliwe, a jednak — nie! Bo pomimo całego rozmachu, z jakim niektóre obrazy zostały skreślone, nie sposób z tych kart odczytać całej krwawej męki, całego trudu umęczonego żołnierza Kresowej”.

Zarówno pod względem doboru materiału literackiego, rysunków, zdjęć, jak i artystycznej oprawy graficznej,

wydawnictwo Kresowej stoi na bardzo wysokim poziomie.

„Kresowa walczy w Italii” to bezsprzecznie jedna z najwspanialszych książek wydanych w Armii.

Wydawnictwem tym „Żubry” w swej drodze do Polski zdobyły jeszcze jedną wężą pozycję”.

## Od Bizancjum do Cassina

Kolorowa okładka numeru „Ochotniczki” wydanego w rocznicę zwycięstwa pod Cassinem symbolizuje nie tylko przełomową chwilę w dziejach walk 2. Polskiego Korpusu, ale także i w rozwoju i osiągnięciach samego pisma PSK. Czym był z początku ten miesięcznik, mało kto może dziś pamiętać i nie będziemy się zbytnio trudzić, by to przypomnieć. Był niewątpliwie odzwierciedleniem nastrojów wówczas nurtujących środowisko, w którym i dla którego był przeznaczony i zapoczątkowany, w najlepszym zrozumieniu potrzeb i wymagań chwili ówczesnej. Był pismem o surowym, suchym i formalnym bardzo obliczu, niemal całkowicie zapatrzonym w wewnętrzne sprawy P. S. K. Był też stosunkowo skromnie ilustrowany fotografiami bądź z kraju, bądź z oficjalnych uroczystości lub zajęć w oddziałach.

Minęło 20 miesięcy i mniej więcej od połowy tego okresu rozpoczęło się na kartach tego pierwszego i jedynego polskiego pisma kobiecego na Bliskim Wschodzie, jeśli wogóle nie na całej emigracji polskiej, jakby nowe życie. Nowa linia nieustannie wznoszącego się poziomu artykułów i całokształtu redakcyjnego pisma. Pojawiły się coraz żywsze reportaże, artykuły ideowe i polityczne stały się coraz ściślej związane z aktualnościami szerokiego świata, wzmogła się ilość coraz to ciekawszych zdjęć, literatura i zagadnienia artystyczne coraz mniej leżały odłogiem, nawet korespondencja z czytelnikami i kronika pisma nabrały żywych rumieńców.

Dziś „Ochotniczka” jest jednym z czołowych pism emigracyjnych, o wyraźnie zarysowanym obliczu, różnorodnej treści i godnym pozazdroszczenia doborze piór i talentów. Wystarczy spojrzeć do numeru Cassinowego, aby się o tym przekonać. Wystarczy wspomnieć, że wśród autorów są pióra takie, jak Kuncewiczowej czy Wańkowicza, a z młodego pokolenia wysuwają się talenty takie, jak poetycki Jadwigi Czechowiczówny, czy naracyjny Marii Weber.

Pod względem oprawy graficznej — również zdobyć ważką — starannie dobierane fotografie wspierać zaczynają coraz silniej artystyczne rysunki m. in. Westwalewicza, Krystyny Domańskiej i Leopolda Haara.

Nie sposób w krótkiej notatce oddać wszystkich cech charakterystycznych i zalet pisma, nawskroś żywego. Zwłaszcza, że chodzi o numer, w którym z przyczyn niezależnych od redakcji i współpracowników nie ma tak już



(Rys. K. Domańska)

zrośniętej z pismem pozycji, jak „Miesięczny przegląd wydarzeń”, J. Żaby odznaczającego się otwartością i odwagą w bezpośrednim stawianiu i omawianiu zagadnień bieżących. Nie ma też i przewidzianego świetnego utworu prozy współczesnej osnutego na niedawnych jeszcze przeżyciach Polaków z ich tułaczki poza krajem. Ale tu wykraczamy już poza samą omawianą publikację. Na tych 48 stronach zwiększonego numeru jest dość dla wszystkich tematów i piór, aby znalazł zaspokojenie swej ciekawości każdy czytelnik, bez względu na

swoją pleć, stopień, wykształcenie i ogólne zainteresowania.

Wystarczy dodać, że sam spis rzeczy wymienia 30 pozycji — artykułów, lub rubryk, wśród których wysuwają się na czoło tematy takie, jak powstanie PSK, praca świetliczarska, łączność, służba zdrowia, komunikacja, praca społeczna, bitwa o Montecassino, Marszałek Piłsudski, kobiety z Armii Krajowej, reportaże, teatr żołnierski, nowe wydawnictwa książkowe, album fotograficzny i nawet sama drukarnia „Ochotniczy”.

Takie są owoce 20 miesięcznej pracy wydawnictwa, uosobionego w jego redaktorce naczelnej, Herminii Naglerowej, ofiarnie oddającej się swej pracy publicystycznej z wyraźnym uszczerbkiem dla jej bliższych zainteresowań do pracy powieściopisarskiej, która zapowiada literaturze polskiej jeszcze dzieła pierwszej wartości. O tym będą się mogli wkrótce wszyscy przekonać z pięknej próbki książkowej. Ale na razie jest to jeszcze wymagająca dyskrecji tajemnica „kuchni wydawniczej”.

J. J.

## Dysproporcje

Żołnierz naogół lubi czytać o sobie. Wkładając tyle wysiłku, tyle potu i krwi w ciężką pracę bojową, żołnierz zdaje sobie sprawę, że obraz jego życia, jego trudu i walki, podany czytelnikowi na zewnątrz przyczynia się do zwiększenia popularności imienia polskiego na świecie, do zwiększenia sympatii dla nas, że jest czynnikiem dla Polski pożytecznym.

Ale żołnierz, rzetelnie spełniający swój — naprawdę nielatwy — obowiązek szuka równej rzetelności w tym, co o sobie czyta. I dlatego nieraz z oburzeniem i złością ciska na ziemię gazetę. Bowiernie to, co o sobie czyta albo słyszy, wydaje mu się jakąś złośliwą karykaturą, kpiniami z niego i ze zdrowego rozsądku.

Niedawno, w czasie 12-dniowego boju o Bolonię, ciężkiego, morderczego boju, kiedy ludzie walili się z nóg, wyczerpani do ostatnich granic wytrzymałości, z głośników radia płynęły niefrasobliwe słowa audycji z Londynu... o pszczołach. Rój pszczoł, który gdzieś nad Senio wyleciał z rozbitych paciśkami uli narobił takiego zamieszania wśród nacierających, że on niemal był największą przeszkodą!

Do Korpusu dochodzi (rzadko zresztą i nie regularnie) „Tygodnik Polski” z New-Yorku. Z zainteresowaniem przeglądamy to pismo. Szukamy wiadomości o sobie. Chcemy, ażeby nasi dalecy rodacy w Ameryce, którzy jedyni obecnie mają możliwość swobodnego mówienia światu o Polsce, wiedzieli jak najwięcej o żołnierzu polskim, o jego życiu, jego walkach, jego trudach. Chcemy, ażeby wiedzieli o nas prawdę.

Za 15-cie lirów każdy z was może sobie kupić nr. „Tygodnika Polskiego” z dnia 1. października ub. roku. Znajdzie tam „barwny, syntetyczny” reportaż pod tytułem: „Wywalczyli drogę innym, sami padli wcześniej”. Autor opisyje swoją wyprawę do jakiegoś oddziału pod Cassino. A pisze tak: „Moździerze niemieckie strzelają bez przerwy i trzeba iść bardzo wolno, zachowywać bezwzględnie ciszę, od czasu do czasu przykucnąć pod jakąś skałą”...

Zastanówcie się tylko przez chwilę: dlaczego w ogniu moździerzy trzeba iść bardzo wolno? Dlaczego trzeba zachowywać bezwzględną ciszę? Dlaczego trzeba kucać za skałami? Wiemy, że czasami silny ogień może idącego przyduścić do

ziemi, położyć, zmusić go do czołgania się i krycia. Ale przecież to wszystko można napisać tak, żeby każdy zrozumiał o co chodzi! A tak: trzeba iść wolno... zachowywać bezwzględną ciszę... kucać za skałami... Nie! To nie jest obraz tego co trzeba robić i co robi żołnierz w ogniu! To jest obraz osobistego zachowania się autora.

Nie rozumiem, ale czytam dalej. Cóż się dzieje? Oto nasz kucający autor spotyka po drodze kawalkadę mułów. Muły prowadzą jacyś Cyprioci. „Cyprioci” — jak pisze korespondent — „są odważni i pracują ofiarnie”. Nie kwestionuję odwagi „Cypriotów”, tylko znów się zastanawiam, o kogo tu chodzi? Widziałem mulników Włochów, Marokańczyków Greków, ale Cyprioci? A może to mają być po prostu mieszkańcy Cypru? Tylko w takim razie dlaczego miłego Cypryńczyka nazywać tak brzydko — Cypriota? Czy nie lepiej sprowadzić sobie słownik języka polskiego i od czasu do czasu do niego zaglądać? A przy tym — nie, dawać się ponosić wyobraźni i bodaj trochę, odrobinę zapoznać się z życiem tego, tak beczceremonialnie opisywanego żołnierza? Może wtedy nie czytaliśmy takich wstrząsających scen jak ta: „Na polanie koto dowództwa batalionu jest zupełnie ciemno. A jednak gońcy przenoszą rozkazy, dowódcy kompanij przychodzą do batalionu i wracają z powrotem na stanowiska, kolumny mułów rozdzielają się w rozmaite strony, całe oddziały przenoszą się na inne miejsca”.

No i pomyśleć: przecież na polanie jest zupełnie ciemno, a ci jak gdyby nic, chodzą, roznoszą rozkazy, przenoszą się na inne miejsca! Nie wiem, co bardziej podziwiać: czy odwagę dowódców kompanij, którzy ośmielają się (po ciemku!) nie tylko przyjąć do dowództwa baonu, ale nawet wracać na stanowiska, czy odwagę piszącego, który podobne brednie ma śmiałość drukować! Tym bardziej, że natrafiam na taki jeszcze ustęp: „Jest coś niesamowitego w tym spokoju, z jakim ogół kolegów zmarłych przyjmuje wiadomość o nowych ofiarach”. Co to ma znaczyć, na Boga? Wyglądałoby to na kpiny z żywych i umarłych, gdyby nie było tylko — istotnie niesamowitą — indolencją, nieuctwem, nieumiejnością posługiwania się piórem!



*Kantyna polowa w czasie akcji pod Bolonią* (Fot. K. Hrynkiewicz)

Czytając tego rodzaju „reportaże” żołnierze z złością ciska gazetę na ziemię. Klnie, na czym świat stoi i nie może zrozumieć, dlaczego o jego ciężkiej, bojowej pracy idą w świat takie brednie. Dlaczego je piszą? Dlaczego po-walają drukować?

Dlaczego ci, co ani o wojsku pojęcia nie mają, ani dwóch zdań po ludzku skleić nie potrafią, mają się zajmować fabrykowaniem takich „re-

portaży”? Dlaczego mają wprowadzać w błąd nie tylko czytelnika, ale i redakcję pisma, chcącego — w najlepszej wierze — zamieścić prawdziwą, nieklamana korespondencję z frontu?

Przecież można znaleźć tyle innych, użytecznych zajęć. Ot, chociażby przetrząść się na prowadzenie mułów. Przy mułach jeden „cypryot” więcej nie zaszkodzi. Zwłaszcza jeżeli będzie pracował odważnie i ofiarnie. T. Z.

#### LISTY DO REDAKCJI

## Skończyć z „kasztaniarstwem”

Redakcja otrzymała kilkanaście listów, których autorzy solidaryzują się z treścią artykułu „Idź złoto do złota — my, Polacy, zwyciężymy żelazem” w poprzednim numerze „Na szlaku Kresowej”.

Oto jeden z tych listów:

Redakcji „Na szlaku Kresowej” należy się szczerza wdzięczność za to, że w ostatnim numerze swojego pisma zerwała zasłonę milczenia, pokrywając dotychczas „kasztaniarstwo” i zagadnienie to odważnie wysunęła na światło dzienne, stawiając je pod pręgierz opinii walczącego żołnierza. A był już najwyższy czas, aby to uczynić. Wieści, nadchodzące z terenów mniej lub więcej odległych od pola walki stały się ostatnio tak zatrważające i ich wpływ na morale żołnierza z pierwszej linii tak niepokojący, że wydobycie „kasztaniarstwa” z bezwzględnych a tchórzliwych i dokładnie zamaskowanych zakamarków czarnogieldziarskich i postawienie przed oczami opinii w całej jego obrzydliwej nagości — stało się jak najbardziej palącą potrzebą.

Spekulacja „kasztanami” — jak każda zresztą spekulacja — jest nieuczciwa, gdyż jest handlem uprawianym nielegalnie, wbrew przepisom — gdyż przynosi zyski nieczyste, powstałe kosztem strat cudzych. I cel takiej spekulacji, choćby jak najbardziej wzniosły — nigdy jej nie uświęci, tak, jak nie uświęci rabunku i kradzieży. A cóż dopiero, jeśli celem — jak w tym wypadku — jest niskie pragnienie zaspokojenia własnej chciwości.

„Kasztaniarstwo” jest nieetyczne, niezgodne z honorem żołnierskim, jest nikczemnym nadużywaniem przywilejów żołnierskiego munduru na tyłach, w celach jak najbardziej płaskich przez jednostki i to w tym czasie, kiedy masa żołnierska krwawi się i ginie w walce o najszczytniejsze ideały.

Żołnierz liniowy, żołnierz walczący brzydzi się „kasztaniarstwem”, a „kasztaniarzy” uważa za nieprzyjemny balast kompromitujący go w oczach obcych i swoich, — balast, który wcześniej czy później odpaść od niego musi.

Jan Tutaj

## S P I S T R E Ś C I

	Str.
Wykonania dopilnujemy! . . . . .	3
Rozkaz na zakończenie działań wojennych we Włoszech . . . . .	4
Strategia duszy żołnierskiej . . . . .	7
Każdy polski Naczelny Wódz... . . . .	11
Wielkości, gdzie twoje imię? . . . . .	12
Na 575 . . . . .	13
War pictorial news . . . . .	16
Ku Bałkanom . . . . .	16
Kresy czy szczyty? . . . . .	17
Polesie . . . . .	23
Kaukaz w walce o wolność . . . . .	23
Rozważania na „po wojnie“ . . . . .	28
Makkiaweliści jako obrońcy wolności i prawa . . . . .	30
Gdańsk — Lwów . . . . .	32
Strofy . . . . .	39
Mowa cieni . . . . .	40
O wolność i niezależność sztuki . . . . .	41
Druga wystawa w Rzymie . . . . .	42
Artyleryjskie błyski . . . . .	44
Ach, zasnąć na wojnie! . . . . .	46
Dunia . . . . .	46
Zardzewiałe więzień kraty... . . . .	50
W obronie suwerenności . . . . .	51
Czerwony faszizm w Italii . . . . .	52
Maria Stella Petronilla, Marchesa di Modigliana . . . . .	55
Sanatorium polskie w Libanie . . . . .	58
„Jedna z najpiękniejszych książek“ . . . . .	59
Od Bizancjum do Cassina . . . . .	60
Dysproporcje . . . . .	61
Skończyć z „kaszaniarstwem“ . . . . .	62

Okładka — Aleksander Werner

